

WIAS

tygodnik społeczno-literacki

Rok IX

Warszawa, dn. 1 VI. 1952 r.

Nr 22 (356)

JAN BOLESŁAW OŻÓG

Z PRZEDEDNIA

Pamięci zajęć w Rzeszowskim w r. 1933

W mgłę szybki świecą się z lepiank
jak oczy nagich zwlok.
Daleko w polu świt. Poranek
chciwym jęzorem żłopie mrok.
Na stomie wszy i głodni chłopci.
Milczy zaspany u drzwi pies.
W topieli olszyn — dwór. Deszcz kropi.
I tylko pachnie bez.
W mieście na plantach jaśmin świta,
W żarówce z baru lśni jak krew.
Wraca z rozpusty — patrz — Rzeczpospolita:
policjant, radca, szef.
W Rakszawie drży u chudych włosów
i chłonie rosę świeży liść.
I piękne pędy corocznej młodości.
Brzoza. Osika. Trześnia kiść.
W tę noc ja Polskę lub zgubę zobaczę,
W tę noc, gdy błędnie gwiezdny rój,
w tę noc rakszawscy tkacze
n: rozkaz odmaszerowują w bój.
Przez Trzeboś i Medynię błada
majowy świt się chyli z dróg
i pędzi na kształt chmury gradu
zdyszany tupot nóg.
Do walki! Wychodź! Ku swobodzie!
Stawaj kto żyw u wrót, u dróg! —
I w krzyku tym we wschodzie
rumieni się majowy głóg.
A dała, gdzie bór piaski złocą,
ze starostw rozkaz tajny gna.
Pędzą agenci w noc, a nocą
śpi morze ciszy i bez dna.
Ziemia kulaków, obszarników
pyskiem Mauzera szczerzy kły.
Policja takich buntowników
ma rozkaz tłuć, Starosta zły.
Na szosie helmy, cień marszałka,
na szosie czeka osiem aut.
Pacyfikacja. Bagnet. Pałka.
I krew, i krew — ach wiosny raut!

*

Czyż mógłbym kiedyś, gospodarzu,
rakszawski zmieniający świat,
zgadnąć, że przyjdzie w kalendarzu
dwadzieścia takich lat,
że będę w strokach niespokojny
wystawiał twoją skrzepłą krew
i niby murarz po dniach znojących
pił z lżą o tobie chłopski śpiew?
Szosa, po której kiedyś „granatowi”
jechali ruch wolności gnieść,
płyne przez pola ku lasowi
świat nowy — patrz — traktorów sześć.
I tedy właśnie do swobody
rwie się kto żyw u pól, u dróg —
i w pędzie wiosny przez ogrody
rumieni się majowy głóg.

ZYGFRED SAWKO

WSPOMNIENIE Z BIAŁOSTOCCZYZNY

Niby jak dawniej — wieczór, szaruga,
Mży bez ustanku deszcz...
Ale gdy bagna znikły i ugor
Plug przeszedł wzdłuż i wszerz —

Bowerem przemkniesz do ukochanej
W najbardziej deszczową porę.
Zeby nie zmoknąć — kto by to łniały
Wkładal na plecy dziś worek.

Dawniej, pamiętam, gdy bez ustanku
Mży deszcz i drogi zalewał —
Po bocie brnęły chłopskie furmanki,
Kulawy wiatr skomlał w krzewach

I próżno w ślady furmanów wołać:
Człowieku, przewieź przez wodę.
...Twarze na furach tych ogorzałe,
Nieogolone brody.

Wiśla! — popędza, wio! — wołał w mroku
Chłop z oczu w ciemność zniknął.
Tonęły w błocie, drogą się wlokły
Chłopskie zaprzęgi w konika.

Przez torfowiska czarne, pamiętam,
Wieczorem dobrnąć nie mogłem.
Pośród zarośli do ciebie, kręta
Wiodła przez bagna droga.

I wiem: Choć drogą ubitą traktor
Przejeżdża tu dziś, Heleno,
W naszych wspomnieniach zostało tamto —
W czasach tak wielkich przemian.

JAN ALEKSANDER KRÓL

Porąbka — ostrzeżeniem i przykładem

ROK temu ze wsi Porąbka (pow. Sosnowiec) otrzymał od Jana Jelonek list pokazywanych rozmiarów. Za wierał on 1) odpis projektu spółdzielczego zagospodarowania łąk i pastwisk w Porąbce na przestrzeni 350 ha, 2) odpowiedź redakcji „Spółdzielni Produkcyjnej”, wyrażającą ocenę tego projektu, 3) artykuł polemizujący z odpowiedzią redakcji „Spółdzielni Produkcyjnej”. Artykuł nie zamieściliśmy, ponieważ zgodziliśmy się z oceną redakcji „Spółdzielni Produkcyjnej”. „Jedną z głównych i niezmiennych zasad, na których opiera się idea spółdzielczości produkcyjnej — jest zlikwidowanie wyzysku człowieka przez człowieka. Zatem w zupełności nieustusznym i nie do przyjęcia jest propozycja zawarta w projekcie — donajmu ludzi z zewnątrz do obróbki pól członków proponowanej spółdzielni.

Jeżeli ludność gromady jest zatrudniona w kopalni i stamtąd czerpie swoje główne źródło utrzymania — to w takim wypadku niedopuszczalne jest tworzenie fikcyjnej spółdzielni produkcyjnej”.

Tu tkwił błąd Jelonek i rozdyktowanej gromady. Ale błąd popełniła również redakcja „Spółdzielni Produkcyjnej”. Krytykę bowiem swoją zamknęła takim wnioskiem.

„Jak wynika z Waszego referatu w Porąbce na obecnym etapie nie można i nie należy zakładać spółdzielni produkcyjnej”.

Tego błędu wówczas nie dojrzałszy i dlatego w artykule Jelonek, polemizującym z „Spółdzielnią Produkcyjną” uszło naszej uwadze to, co zbyła milczeniem wyrokująca redakcja.

„Jeśli nie można założyć spółdzielni produkcyjnej bez obawy pozbawienia o fikcję — pisał Jelonek — to trzeba szukać innych dróg, aby ten martwy od stu lat kapitał łąkowy i pastwiskowy uruchomić i włączyć do produkcji do wykonania Planu Szescioletniego”.

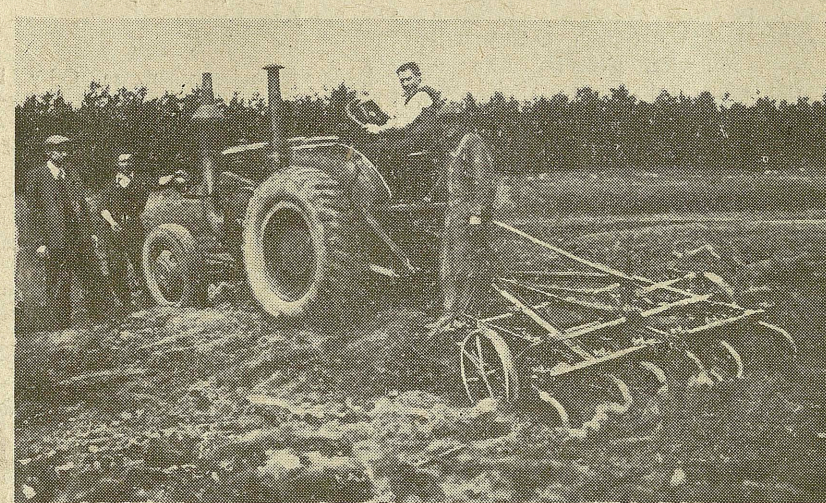
Był to trzeci — nasz błąd.

Porąbka pod względem zaludnienia jest wsią olbrzymią, ma 7000 mieszkańców. Tak wielkie skupienie ludności tłumaczy dwie duże kopalnie węgla: Kuzmierz — Juliusz. Przed stu laty ileż mogło tu być rodzin chłopskich na 300 ha? Przyjmując przeciętną nawet 3 ha — 100 (osób około 500). Rozwój przemysłu węglowego na miejscu spowodował, że z pokolenia na pokolenie przystającą ludność nie odpływała w takim stopniu, jak to się działo w Krakowskim czy Rzeszowskim. Ale kopalnie węgla zatrzymywały nie tylko dlatego, że związane z nimi nadzieje na pracę. Kopalnie te dawały chłopom przybliżone wyobrażenia o całym Zagłębiu. Odbierały złudzenia, jakie żył chłop kielecki i rzeszowski, wędrujący do miast fabrycznych albo wyprawiający się za ocean. Tu w Porąbce uczono się rozumieć, że tak samo Sosnowiec, Będzin czy Katowice są nasycone swoim miejscowym życiem, po którym hulają zryzaki kryzysów, obniżki płac, redukcji robotników i samej produkcji. To było jedno gorzkie doświadczenie. Drugie nie mniej ponure uczyło, że nie ma odwrotu. Na Porąbkę przed kilkudziesięciu laty „spadły” kopalnie jak manna z biblijnego nieba. Ale wraz z „dobrodziejstwem” odsłonił się eksploatacki charakter przedsiębiorstw kopalnianych. Kiedy takie paruty-sięczne Myślenice, Krotoszyń czy Wiślica są miastami — 7-miotysięczna Porąbka nie była przed wojną nawet osadą, nie była nawet wydzieloną z ogromnej gminy olkusko-wierskiej, w której wraz z Kazimierzem (Porąbka — Kazimierz) stanowiły więcej niż połowę ludności, a ta połowa, 15 tysięcy, posiadała większość mieszkańców od niejednej gminy. Kopalnie nie wydzieliły wsi do rangi i charakteru osady-miasteczka. Zatrzymały ją w półprywatnym stanie, który kazał wracać myślą do legendarnej już kolebki dla tych górników od czterech czy trzech pokoleń. Kiedyś tu na 300 hektarach mówiono: „chłopek ci ja, chłopek...” Przed wojną 5000 osób było już bez skrawka ziemi. Na morgi nikt nie potrafił oddać, a kiedy się obejrzał na południe, na Śląsk, ziemia tam u ludzi w akarach, w działkach, nie wypuszczając z rąk. Kiedy się obejrzał na północ, na jurę siewiersko-częstochowską — kraj odcięty od świata —

licha ziemia, małorolne chłopstwo, nędza. Odwrotu nie było.

Ale była walka na miejscu. Do dziejów tej walki nigdy nie sięgnął w swych korespondencjach Jelonek. A przecież poprzez jego informacje dobiega do nas nie tylko echo walki, dobiega ostatni, aktualny epizod. Na co wskazywała redakcja „Spółdzielni Produkcyjnej” — w „tworzeniu fikcyjnej spółdzielni produkcyjnej”?

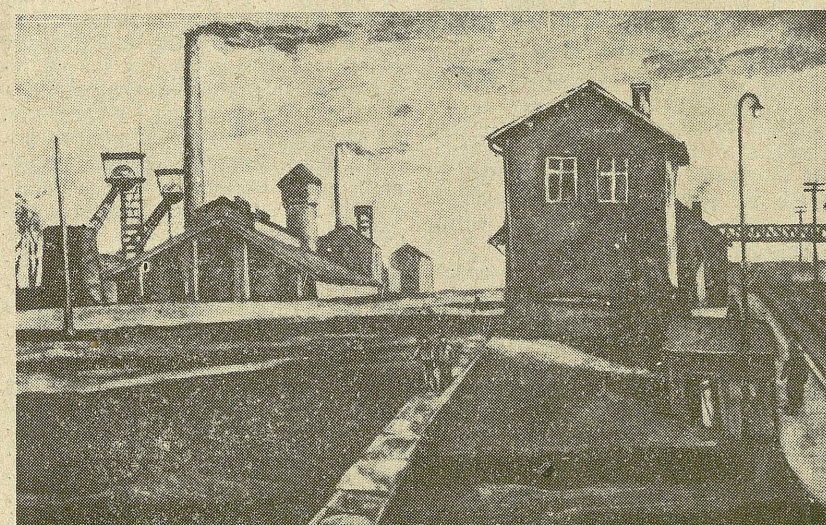
Trzeba nie tylko wyliczać fakty, trzeba je wyjaśniać. Jaka to Porąbka weszła do nowej Polski? Z pięciu tysiącami mieszkańców bez ziemi i z dwoma tysiącami (400 rodzin) z



Kol. Działach, kierownik zespołu uprawowego w Porąbce, na traktorze.

ziemią. To jest podział, który coś mówi. I bagatelizować go nie można. Na 300 ha siedzi 400 rodzin, co oznacza, że „gospodarstwa” wahają się między pół a 2,5 hektarami. Mikroskopijne a w najlepszym razie małorolne. Tak, ale obok tych czterystu rodzin z kłosem ziemi było ponad 1000 rodzin bez gruntu ziemi. Ten podział grał przed wojną, grał w latach kryzysu, redukcji, obniżek płac i cofania się produkcji przemysłowej. Dawna kolebka Porąbki — ziemia — stała się przyczółkiem dla jednej trzeciej. Dwie trzecie zatapiał los redukowanych, niedopłacanych, skazywanych na pracę po dwa dni w tygodniu, na pracę jednego członka rodziny przy trzech innych, na których już nie w kopalni a na hektarze u „sąsiada” czekała odróbka.

W tamtych latach, w osadzie z pozoru górniczej, gdzie głos syreny budził wszystkich mieszkańców, odżył podział na „górników” i „rolników”. I z jaką tendencją? Agrarystyczną!



Kopalnia

Mal. Rafał Potkowski

— Fabryki, kopalnie, cuda techniki, wszystko to zawodzi a ziemia po staremu zawsze uratuje.

Nie było takiego podziału, nie było takiej „filozofii chłopskiej”? A o czymże w takim razie mówią nam powojenne informacje Jelonek. Jeśli nie brać „rolniczo” owych pól, hektara i dwa hektary a przeciwnie, jako działki pracownicze, jeśli brać zatem całą ludność Porąbki za pracowników górnictwa, przemysłu, handlu, transportu i innych instytucji, co odpowiada prawdzie, bo obecnie ponad 90 proc. dorosłych pracuje pozarolniczo — to czemuż tu w Porąbce powstały dwie partie PZPR i ZSL. I „obie — jak pisze Jelonek — u nas mocne”?

Pora już odsłonić jeszcze jedną osobliwość Porąbki. Wszystkich gruntów posiada wieś na 300 ha a 650 ha. Przed stu laty owe 350 ha stanowiły wspólne, gromadzkie pastwiska i łąki. Kopalnie prawdopodobnie wykupiły część tego terenu,

co z łąkami poszło u obu stron w zapomnienie z dwu powodów: Po 1) w kapitalistycznej gospodarce nie stosowano zamolki piaskowej przy eksploatacji węgla; to spowodowało obniżanie się powierzchni okolicznych terenów. W Porąbce ofiarą padły łąki. Obsunęły się, a przepływająca rzeka zatopiła je, zamieniając w bagna i stawiska. Po 2) pastwiska na skutek działalności kopalni uległy przesuszeniu i stały się w ocenie mieszkańców absolutnym nieużytkiem.

Ale w latach kryzysu przypominało sobie o wygonie. Gromada — jak pisał Jelonek — starała się po 1930 roku o podział wspólnoty. Nie ze-

trzyma krowy. Prawdę mówiąc — na koszt państwa. Jak bowiem przedstawia się gospodarka? Odbija się w niej obraz sukcesji pokapitalistycznej. Zagony szerokości 7 lub 10 metrów, ciągną się do 1 km długości, a „całego kramu” u rolnika — pół, a najwyżej 2,5 ha. W krainie wielkiego przemysłu gospodaruje się najbardziej zaołanym systemem kapitalistycznym: żytko, ziemniaki, owies i trochę pastewnych. Tam, gdzie wokół fabryk i kopalń życie domaga się gospodarki warzywniczej i sadowniczej.

A teraz owe krowy. Wygony nie dają paszy, zagony tym bardziej. Więc przez dobrze rozwiniętą Spółdzielnię Gminną ZSCH 400 rodzin (teraz już 150) domaga się aptowizacji w słomę i siano. A tu Spółdzielnia nie potrafiła sprowadzić ani kilograma paszy objętościowej i „rolnicy” kupują słomę po 65 zł. u prywatnych handlarzy lub przyjeżdżnych chłopów z Olkuskiego. Oczywiście, nie dopuszczają myśli, że jak Kuba Bogu tak Bóg Kubie. Po co krowy przy żytku i owsie. Czemu nie warzywa i sadownictwo, czemu, jeśli krowy, nie uruchomić 350 ha od stulecia martwej ziemi dla bazy paszowej?

Trzeba przyznać, że ta myśl dojrzała i w lutym 51 r. przybiera realny kształt wspólnej uchwały ZSL-u i ZSCH.

*

Czego to nauczyło się 400 rodzin „rolników” w nowej Polsce, za władzy robotniczej? Mocne i aktywne koło partii pomogło zesłańcom rozbudować gminną spółdzielnię i wyłączyć z życia gospodarczego element kulacki, spekulacyjny i drobno-kapitalistyczny. Gromadzkie koło ZSCH przychyliło się do poprawy produkcji rolnej. Wprowadzono maszynowe obsiewy i omłoty, kontrakcje i planowy skup zboża. Już w r. 1950, 400 rodzin „rolników” wykonało plan w 150 proc.

Ale nie upraszczajmy. Projekt „spółdzielni produkcyjnej” jaki przesłał Jelonek w ub. roku do redakcji „Spółdzielni Produkcyjnej” dowodził, że nauka czy wybitnie posunęła się naprzód, posunęła się po dwu torach, podnosząc i zaostrzając sprzeczności u „rolników”, obdarzonych dwoma duszami.

Czegoż to bowiem uczyła się dusza posiadacza? Po 1) w Gminnej Spółdzielni dostrzegła, że operuje się tu „siłami najemnymi a nie traktuje się tego, jako wyzysku człowieka przez człowieka”. Po 2) dostrzegła, że mechanizacja w rolnictwie, że traktor to siła, która może poradzić sobie z przesuszonym, stuletnim wygonem. Ergo — założmy „spółdzielnię produkcyjną”, która zagospodaruje ugor (35 ha), tworząc z nich świetne łąki, sady i zarybione stawy.

„Spółdzielnia produkcyjna” ale pod szczególnymi warunkami.

Po 1) co do zalanych łąk. Zjednoczenie Węglowe w Sosnowcu, Urząd Wodno-Melioracyjny oraz „opieka państwa” winny złożyć się na udzielenie kredytów i meliorowanie łąk, czyli z bagniska wydobyć łąki i oddać je 400 rodzinom „rolników”.

Po 2) o stu dniówkach chłopów-górników (teraz są „chłopi-górnicy”) nie ma co mówić. Ale „czy znaczy to, że jeśli chłop ma pracę w przemyśle to musi zupełnie zaniedbać swój rodzinny kawałek gruntu? A jeśli pragnie po pracy spocząć w sadzie albo podczas urlopu szeroko oddychać aromatyczną wonią łąk, to już mu nie wolno?”

Po 3) Aby więc mogło 400 rodzin spocząć w sadzie i oddychać aromatyczną łąką proponuje się pod firmą „spółdzielni produkcyjnej” zatrudnić na stałe najemne i kwalifikowane siły z rezerwy miejscowych kobiet-wdów, emerytek i emerytów. Uprawa łąk i pastwisk jest wszak bardziej zmechanizowana i sezonowa. A kiedy nawet doliczyć rozbudowę sadów handlowych, ogrodu warzywnego i stawów rybnych to wymieniona armia rezerwowa wystarczy do obsługi tego nowego, wielkiego przedsiębiorstwa (350 ha).

Po 4) Taka „spółdzielnia produkcyjna” nie ma jeszcze swojego statutu, należałoby go zatem ukonstytuować i uprawnaczyć. Istotą tego statutu byłoby wprowadzenie „pewnej elastyczności w spółdzielni produkcyjnej w zakresie zapotrzebowania i wykorzystania najemnych sił robotniczych”.

(Dokończenie na str. 2-ej)

Porąbka — ostrzeżeniem i przykładem

(Dokończenie ze str. 1-ej)
Do czego zmierzają te warunki?
Po 1) Stuletni ugor (350 ha), dawną wspólnotę całej gromady definitywnie przesuwamy na rzecz 400 rodzin „rolników”, wyłączając od „spadkobrania” 1000 rodzin czystych górników, jakkolwiek dla nich Porąbka również od pokoleń była rodzinną wsią.
Po 2) Zmierzają na wzór kapitalistycznych spółek czy akcyjnych towarzystw do zorganizowania wielkiego przedsiębiorstwa 400 rodzin „rolników”. Przedsiębiorstwa, któreby na 350 ha zakwitło łakami, warzywami, sadami i stawami rybnymi. Zakwitło pracą małej armii silniejszych i onych, plus inwestycje obciążające budżet „akcyjnego towarzystwa” 400 rodzin nie wzamian dają udziałowy dochód z tytułu włożonej ziemi, czyli mówiąc fachowo a tego terminu nie złął się Jelonek — brać rentę gruntową! Oto cały udział „spółdzielczy” w „spółdzielni produkcyjnej”, wymyślonej wśród 400 „rolników”, „w mocnym” kole ZSL.
Dlatego to redakcja „Spółdzielni Produkcyjnej” nazwała projekt Jelonek „tworzeniem fikcyjnej spółdzielni produkcyjnej”.

Ale jak się rzekło na początku artykułu i redakcja „Spółdzielni Produkcyjnej” i nasza popelnili przed rokiem błąd, nie dostrzegając, że projekt daje obraz sprzeczności a więc walki dwu sił przeciwnych. Odpowiedź na chwilowo górującą, kapitalistyczną w treści i w konsekwencjach — nie! — była to żadna sztuka i zła sztuka!

Odpowiedź tylko — „jak wynika z Waszego referatu w Porąbce na obecnym etapie nie można i nie należy zakładać spółdzielni produkcyjnej” — znaczyło nie tylko zostawić bez pomocy te siły, która naprawdę szła drogą do socjalizmu na wsi, ale znaczyło co gorsza — pomieszać jej karty i jeszcze bardziej zagubić w skomplikowanym położeniu. A pamiętajmy, że Porąbka jest przykładem zagadnienia szerszego terytorialnie. „W podobnych warunkach — pisał Jelonek — znajdują się na terenie Zagłębia i Śląska setki jeżeli nie tysiące gromad, czy więc i one mają czekać aż ostatni kawalek węgla zostanie wydobyty? Co w takim razie należy uczynić? Aby te setki hektarów w Porąbce a tysiące hektarów w całym okręgu przemysłowym włączyć do produkcji rolnej? To nie moja myśl ale wielu ludzi w Porąbce, pokrywająca się z moim marzeniem”.

Dokonyjmy drugiego podziału. 400 „rolników” dojrzało do projektu spółdzielni produkcyjnej po dwóch torach. Kombinowali „interese” ale widzieli również sprawę. Sprawa otwierała perspektywę na spółdzielnię w zakresie upraw i produkcji — specjalnych. Analogicznie do łakowych i sadowniczych mogą powstać wikliniarskie, torfowe i górsko-pastwiskowe. Tak rozważano na zebraniach gromadzkich w Porąbce. W tych dyskusjach nie można przeoczyć rozwijającej się wśród chłopów (małorolnych w Porąbce) świadomości gospodarza terenu, świadomości, która ukazuje, jak bardzo potrafią już chłopcy „wnikać w sprawy kraju i dlatego odkrywać u siebie na miejscu rezerwy do włączenia, jak to wielokrotnie powtarzał Jelonek, w realizację Planu 6-letniego. Nie można przeoczyć inicjatywy „rolników” z Porąbki. Wszak pierwsza uchwała zapadła 4 lutego 51 r. — O co w niej szło? O rozszerzenie bazy paszowej. Pod tym względem inicjatywa była duża i cenna. Uprowadzała kryzys roku 51 w hodowlę. Co więcej, inicjatywa ta już rok temu odkrywała w centralnej Polsce owe „stuletnie odłogi” i wygony jakie, jeśli nawet figurowały w statystykach, nie brane były dotąd w rachubę ani przez gminne rady ani przez same gromady.

Trzeba doczytać się wyraźnej sprzeczności, wyraźnego konfliktu między „interesem” a sprawą w biadaniach Jelonek.

„Nie wiem co jest w tej całej sprawie ważniejsze, czy ustępstwa statutowe czy uruchomienie kapitału tysięcy hektarów różnego rodzaju odłogów, obecnie nie uprawianych przez tysiące obywateli w setkach gromad”.

Dostrzeżmy jeszcze jedno. Sprzeczność, o której mówimy, zarysowała się w warunkach nietypowych, a nowych. Co to, co zaczęli chłopcy w Porąbce widzieć i rozumieć, było pionierskie. Z pionierskiej koncepcji i sprawy spłóli się „interese” drobnego posiadacza ziemi. Opłatał ją tak, jak jemiola konary dębu. Zdrowe myśli zaściemniły spekulacyjne. I pod ich naciskiem znaleźli się nawet bystrzej-si działacze. Ciągając sprawę szli na kompromis, jeśli nie ze spekulantami, to ze spekulacjami i tendencjami odradającymi się wśród 400 „rolników”. Fakt, że pogubili się, fakt, że ugięli się przed „interesem” renty gruntowej.

Jasne, że Jelonek stał się mimowolnie adwokatem udziałowców renty gruntowej, kiedy wykladał: „mam wrażenie, że właśnie teraz człowiekowi pracy (pozarolniczej) należy pójść na ustępstwa statutowe, aby, jeśli nie może pracować w spółdzielni produkcyjnej, mógł jednak korzystać z dochodu, należnego mu z tytułu wkładu gruntowego”.

Jasne, że adwokatał marzącym o dochodach z renty, kiedy zagadanie nie stało się sprawą do abstraktu. Czterystu bowiem rolników, to

40.000 dniówek. A taką sumą pracy można obrócić nie 300, nie 650, ale ponad 2.000 ha. Po cóż to zatem którykolwiek z czterech statutów spółdzielni produkcyjnej? Trzeba ustanowić piąty.

Trzeba, bo... „pozbawienie członków spółdzielni dochodu z ziemi z powodu niewłożenia pracy, zniechęci zarówno przystępujących (??), jak i pozostałych rolników, którzy w przyszłości mogliby przystąpić”.

Jakiż w tej pogroźce nacisk liczących na rentę gruntową. I jakie wystawienie dobrej miny marzyciela, Jelonek — do złej gry.

Od lutowej uchwały w Porąbce minął rok. Po krytycznej odprawie, jaką dała redakcja „Spółdzielni Produkcyjnej” lowcy renty gruntowej stracili zapal i ucieli. Zagorzali społeczniczy stanęli wobec pytania: „co w takim razie należy czynić, aby setki hektarów w Porąbce włączyć do produkcji rolnej?”

Odpowiedź nadeszła z powiatu. Sprawa bowiem Porąbki stała się głośna w całym powiecie będzińskim. Kiedy w Porąbce przestano dyskutować o pastwiskach i łakach, wtedy to w innych wsiach i gminach wzniósł się fala zebrań i rozważań. Wszędzie powoływano się na Porąbkę. Była ona pierwsza, zbudziła powiat.

— Za pionierskim przykładem Porąbki... dągnie Porąbka... nie pozostawać w tyle... rozwinię i upowszechnić współzawodnictwo między gromadami, które pójść śladem Porąbki...

I kiedy „pionierską” gromadę otoczyła legenda, w rzeczywistości znajdowała się ona wówczas w ogniu ruchu. Powstały pierwsze spółdzielnie produkcyjne we wsiach Łosień, Ujście, Malinowice, powstały dwa ośrodki społecznej gospodarki hodowlanej w Czeladzi i Rogoźniku, na odłogach i funduszu ziemi, powstało wiele zrzęsen uprawowych. Pod bokiem Porąbki do współzawodnictwa z nią stanęła gromada Ostrowy Górnicze, tworząc zespół uprawowy dla uprawy stuletnich ugorów.

Dopiero te fakty podzialały z kolei na Porąbkę.
„Długo trwały narady aktywistów politycznych i społecznych — donosi Jelonek w ostatnich korespondencjach — zanim odważono się zdecydowanie założyć Zrzeszenie na podstawie istniejącego statutu, bez wprowadzania do niego zmian”.

Znaczy to, że cofnięcie się od spółdzielni produkcyjnej do zrzeszenia uprawowego. Było to cofnięcie organizacyjne, ale stanowiło o zwycięstwie ideologicznym, o naprostowaniu drogi.

9 marca podpisał deklarację 11-tu rolników — 5-ciu zetesełowców, 8-ch pezetperowców i 3-ch bezpartyjnych. Miał zespół, ale społeczników nie zatrudził ani zniechęcił. Przeciwnie, są jak najlepszej myśli. Teraz będą sukcesywnymi agitatorami, bo teraz lowcy renty gruntowej już ich nie obróca na swoich adwokatów. Teraz są pewni, że pójdzie im tak, jak było ze spółdzielnią gminną. Zorganizowała ją przed czterema laty 20 odważnych, obecnie należy do niej 1250 członków, a obrót spółdzielni idzie w miliony.

Przed orką i siewami zespół uprawowy liczył już 18 członków. Pod uprawę wybrano pastwiska położone na północ od Porąbki. Zaplanowano na początek 20 ha. Pod uprawą znalazło się już 35 ha. Traktor z POM-u w Pszczynie wjechał na stuletni ugor. Aby go zdobyć użyto trzech rodzajów plugów, najpierw talerzowe, potem kultywator i dopiero plugi normalne. Część wiekowego odłogu została ożywna. Wyrośnie na nim owies, mieszanka zbożowa — strąkowa, łubin pastewny.

Jesień zarysowuje nowy etap prac. Powiększyć zespół, szerzej wedrzeć się w martwe łęgi pastwisk, postawić szopę na płon tegoroczny, wysadzić w szerokie rzędy kilka tysięcy wiśni i czereśni.

Jesień zarysowuje z nowymi zadaniami nowe trudności i nowe konflikty. Chcemy na nie zwrócić uwagę.

Półki 18 członków zaorywa i obsiewa 35 ha — trzystu innych „rolników”, a wśród nich 150-ciu z krowami na tie walkę z martwą ziemią spogląda jeszcze spokojnie. Ano, biorą mniej więcej tyle, ileby im przypadło z podziału.

A co powiedzą „rolnicy”, kiedy zrzeszeniowcy zdobędą pod uprawę i bazę paszową 150 — 200 ha?

Trzeba rozwiązać zagadnienie własności owych 350 hektarów nieużytków. W Porąbce nazwa się je „wielkowym ugiem” i traktuje jako „sprzed stu lat” wspólnotę gromady. Jeżeli wspólnota całej gromady sprzed stu lat, to należy do 7000 tysięcy mieszkańców. Nie tylko do 400 rodzin „rolników”, również do tysięcy rodzin czystych górników.

Jeżeli wiek cały leżały w ugorze i bagnach te obszary a do uprawienia ich mogło dopiero dojść w Polsce Ludowej, w Polsce, która buduje fundamenty socjalizmu, trzeba iść naprzód nie tylko w technice, ale i w organizacji zagospodarowania tych wielkich odłogów.

Trzeba do dyskusji i prawa decyzyjnej wprowadzić obok „rolników” również czystych górników. Dla nich również to ziemia rodzinna. Ale oni, których w latach kryzysu, głodu i bezrobocia nie ratował ani jeden zagon ziemi rodzinnej, najbardziej dziś mają moralne prawo powiedzieć: „to co renty gruntowej? Rodzinna to ziemia, nasza — społeczna”.

Jan Aleksander Król

STANISŁAW CIEŚLAK

Wykorzystujemy lepiej dźwignie wymiany

I
POLSCIE Ludowej uspołeczniony handel rozstrzygnął już, w zasadzie na swoją korzyść, tę wielką bitwę, która z różnym natężeniem trwa od ośmiu blisko lat o opanowanie obrotów towarowych między miastem i wsią.
Ale walka przeciwko dawnemu uprzywilejowaniu na rynku kuliaka, przy jednoczesnym upośledzeniu biednego i średniego chłopca, walka o ograniczenie i likwidację spekulacji, przechwytującej owoce pracy robotnika i chłopca, walka o uczynienie z wymiany (dzięki jej wpływowi na produkcję) dźwigni budownictwa socjalistycznego — nie tylko nie wygasa, ale ulega dalszemu zaostrzeniu.

O ile w początkach naszej planowej gospodarki walka ta miała charakter przeważnie zewnętrzny, dziś toczy się niejedenkrotnie nie tylko wokół a więc zewnątrz spółdzielni ale i wewnątrz spółdzielni gminnych i PZGS-ów oraz ich komitetów członkowskich i rewizyjnych, do których jak szczyry z tonącego okrętu, usiłują się wciągnąć wyparte z siedla elementy kapitalistyczne i spekulacyjne.

Dla wygrania tej bitwy potrzebne jest większe uczulenie aktywów GS-ów i PZGS-ów na krytykę ze strony korespondentów robotniczych i chłopskich, uważniejsze przysłuchiwanie się wypowiedziom chłopcom na zebraniach wyborczych i sprawozdawczych, staranniejsze i częstsze analizowanie przez aktyw GS-ów i PZGS-ów gospodarczych, społecznych i politycznych skutków swej pracy.

Jakże często jeszcze nasze GS-y i PZGS-y w odpowiedzi na słuszną krytykę terenu uciekają się bądź do formalnego załatwienia sprawy bądź uchyłają się wprost od odpowiedzi.

Tak np. bez żadnej pomocy ze strony sieradzkiego PZGS-u toczy się od blisko pół roku w gromadzie Kuśnie, gm. Barczewo, pow. Sieradz uparta walka wciąż jeszcze nierozstrzygnięta walka całej niemal gromady z głównym heroldem spekulacji na tym terenie, Franciszkiem Wojtyśkiem, który trzęsie komitetem członkowskim i całą spółdzielnią, ba, ma nawet wpływy i w Gminnej Radzie Narodowej oraz bliżej jeszcze nie zdemaskowane punkty oparcia w powiecie i przy ich pomocy terroryzuje mało i średniorolnych chłopów, przechwytując się (jak pisze korespondent): „mnie nikt, nic nie robi, a gdyby mnie ktoś zaatakował, to zdążył się z nim rozprawić”.

Stanowisko PZGS-u w Sieradzu nie należy nistety do wyjątków, podobną postawę wobec krytyki terenowej przejawia wiele jeszcze GS-ów i PZGS-ów, nawet z powiatów od sieradzkiego bardziej zaawansowanych w rozwoju gospodarczym i politycznym.

Oto np. z powiatu Starachowice, ze wsi Pawłowice pisze ob. Wincenty Orłowski, że sklepowa „ob. Mazur sprzedaje swemu dobremu znajomemu 5 litrów octu, a przyjdzie drugi to dla niego już nie ma wcale”. Nie może się również Orłowski „ogodzić z tym, że w spółdzielni pracuje niejaki Rutkowski, „który ukradł 800 tys. zł (w starej walucie), przez dwa lata wynosząc jak szczerz najpóźniej materiał ze spółdzielni, a przecież były to pieniądze mało i średniorolnych chłopów. Niekłórz, co to widzą i wiedzą, mówią, że jeśli w tej spółdzielni tak się robi, to cóż dopiero byłoby gdybyśmy założyli u nas spółdzielnię produkcyjną, chodzilibyśmy boszo i głodno, bo by tam takie samo złodziejstwo także powstało”.

List wędruje z redakcji do PZGS-u w Starachowicach, gdzie leży już od roku protokół rewidenty, stwierdzający nadużycia Rutkowskiego i informujący, że sprawę skierowano do prokuratora.

Sądzić, że PZGS w Starachowicach, mając takie atuty w ręku, przystępuje natychmiast w oparciu o Powiatowy Komitet Partii do rozegrania w Pawłowicach wielkiej bitwy o oczyszczenie i umocnienie spółdzielni, jako ważnego (w przekonanu samych chłopów) mostu prowadzącego do spółdzielczości produkcyjnej?

Nie podobnego, PZGS ogranicza się do formalnego zasięgnięcia opinii aktywów gminnego o pracy Mazur i Rutkowskiego (aby mieć „papierkę na papierkę”). Aktyw stwierdza, że ob. Mazur jest jedną z najlepszych ekspedientek na terenie gminy, wywiązuje się ze swych obowiązków nienagannie, również i ob. Rutkowski nie zasłużył sobie na taką nagannę”.

Mimo bijącej w oczy sprzeczności: protokołu rewidenty, listu korespondenta i opinii aktywów — PZGS przesyła redakcji w odpowiedzi na zarzuty korespondenta... odpis opinii aktywów gminnego. Bardzo niefrasobliwie.

Oczywiście redakcji to nie wystarczyło, zażądała zbadania sprawy przez województwo, zarzuty korespondenta okazały się całkowicie słuszne, wnioski wyciągnięto, niestety, tylko w stosunku do Mazur i Rutkowskiego, choć PZGS w tym wypadku wykazał o „piętro” wyższą, karygodną obojętność i niedbałość.

II

Aktyw GS-ów i PZGS-ów (zwłaszcza ta jego przeważająca część, która pracuje z ogromną ofiarnością i poczuciem odpowiedzialności) mogłoby się słusznie zapytać, czy inne instytucje pracują zupełnie bez błędów, dlaczego więc do licha, najmniejsze nawet uchybienie w pracy GS-ów i PZGS-ów (nie zawsze przez nich w całości zawnione) stają się natychmiast przedmiotem narad partyjnych, obrad terenowych organów władzy ludowej, zajmu-

ją coraz więcej miejsca w prasie centralnej i terenowej?

To natężenie krytyki pracy GS-ów i PZGS-ów nie jest przypadkowe, wynika bowiem ze specyfiki obecnego etapu rozwoju, z nowych zadań, jakie stanęły przed nami w trzecim, decydującym o całości naszej sześciolatk, roku Planu 6-letniego.

W okresie bowiem, gdy klasa robotnicza rozwija z ogromną ofiarnością w przyspieszonym tempie nasz przemysł, gdy chłopstwo pracujące przy pomocy władzy ludowej i klasy robotniczej



Foto — J. K. Maciejewski

czej, z rosnącym rozmachem zabiera się do usunięcia nadmiernego opóźnienia się rolnictwa, sprawa należytej troski o zaspokojenie codziennych, zwykłych potrzeb prostego człowieka, szeregowego budowniczego socjalizmu nabiera ogromnej wagi i znaczenia.

Z drugiej strony właściwie zorganizowana wymiana może się stać jedną z głównych i podstawowych dźwigni przyspieszonego rozwoju rolnictwa i jego przebudowy, na co z coraz większym naciskiem zwracają w swych listach uwagę również i korespondenci terenowi.

W Jeżowie pow. Nisko odbywa się walne zebranie spółdzielni gminnej. Jak informuje w swym liście ob. Jan Zajac — nad sprawozdaniem zarządu za dwa i pół lata pracy (I) rozwinęła się dyskusja. Padło ze strony zebranych wiele pytań i zarzutów i rzecz charak-



Foto — E. Golański

teryistyczna dla obecnego etapu głównie dotyczących właśnie sprawy umocnienia nie tylko konsumcyjnej, ale przede wszystkim produkcyjnej spójni między miastem i wsią. Pytano więc m. in. dlaczego sadzenia w ub. roku wycofano z początku tak wysoko, że dopiero po dwukrotnej obniżce ich ceny (niestety dokonanej już po okresie sadzenia) znalazły one nabywców, dlaczego słomę prasowaną sprzedawano po 50 zł za metr, kiedy jej wolnorynkowa cena wahała się od 25—35 złotych za metr, dlaczego ci, co mieszkają bliżej spółdzielni, otrzymują nawozy sztuczne w dowolnej ilości, podczas gdy dalej mieszkający kupić nawozów nie mogą, dlaczego w spółdzielni w Jeżowie, w przeciwieństwie do innych spółdzielni, nie można kupić plugów, bron, sprzętów, itp.

A jakich odpowiedzi udzielił kierownik GS-u?

— Ceng na ziemniaki i słomę ustalił PZGS, gminna spółdzielnia w naszym nie jest tu winna, chłano jej wepchnąć nawet i siano po 75 złotych za q, na szczęście kierownik nie zgodził się i z triumfem oznajmia, że siano to zostało skierowane do sąsiednich spółdzielni, gdzie do dziś dnia leży w stertach i gnije, nie znajdując nabywców”.

Co do nawozów, to nie wyjaśniając „zasad” ich rozdania, kierownik pociesza zebranych, że obecni tu przedstawiciele władz poczynią kroki w celu zwiększenia przydziałów dla tutejszego powiatu”.

Co do narzędzi rolniczych — „wobec rozbudowanego się przemysłu zapotrzebowanie na żelazo jest wielkie, z tego powodu przemysł nie nadaje (?!), z produkcją narzędzi rolniczych...”

Rezultat takich „wyjaśnień i odpowiedzi” łatwo przewidzieć. Można go odczytać wyraźnie z listu ob. Zajaca: „i choć dyskusja nie stała na wysokim poziomie a odpowiedzi były nie dość szczegółowe, to jednak wykazały ponad wszelką wątpliwość, że nawet najbardziej energiczny zarząd GS-u, nie jest w stanie zaopatrzyć spółdzielnię w większy asortyment towaru, ani nie może wpływać na oceny, gdyż jest zależny od przydziałów z góry w PZGS-ie i województwie”. A tam co robią?

krzając wokół terminowego i sprawiedliwego rozdania nawozów sztucznych, siewników itp. Nawozów z spółdzielni i siewników było dość na potrzeby gromady. Jednak — jak pisze w liście do redakcji 17-tu chłopów z tej gromady — Zarząd Spółdzielni w Rebiszowie rozpoczął (mimo nalegań kół ZSCh) wydawanie nawozów dopiero 15 kwietnia rb., gdy roboty w polu już się zaczęły. Spowodowało to ogromne zamieszanie przy rozdziale, a w dodatku wiceprezes Zarządu GS-u Domańska oświadczyła, że może wydać nawozy dla kontraktujących zboża dopiero po 25 kwietnia rb., po zakończeniu wolnorynkowej (a więc i dla kula-ków) sprzedaży nawozów, a na protesty chłopów odpowiedziała „nawozów nie wydam, a kontraktacja jest dla mnie zerem”. Domańska odmówiła chłopom również wydania siewników z SOM-ów, twierdząc, że „za mokrą jeszcze na siewy”, a my przecież — piszą z oburzeniem chłopcy — znamy się od niej lepiej na roli”. I dopiero dzięki dwukrotnej, energicznej interwencji miejscowego sekretarza Partii 3-ch przedstawicieli kół ZSCh z dwoma wozami, straciwszy trzy dni czasu w okresie gorących robót pólnych, zlołalo wydrzeć ze spółdzielni jeden siewnik (a potrzeba było trzy) i tylko część niestety należnych im nawozów. „Taki stan rzeczy — piszą w zakończeniu chłopcy — spowodował, że kilku mniej świadomych gospodarzy zwróciło umowy kontraktacyjne. Zapytujemy, czy można tak bagatelizować uchwały rządu i potrzeby państwa? Czy w okresie najgorętszych robót zabierać rolnikom tyle drogiego czasu, i to wtedy, gdy siewy, jak w tym roku, były opóźnione? Prosimy o interwencję, ponieważ taki stan rzeczy dalej istnieć nie może, gdyż godzi to w interesy państwa i nasze”.

III

O czym świadczą te przykłady? O tym, że gminne spółdzielnie i PZGS-y posiadają w swym ręku jedną z podstawowych dźwigni dla przyspieszenia rozwoju rolnictwa i jego przebudowy, dźwignie coraz mocniejszą, bo przy-działu zarówno artykułów konsumcyjnych jak i zwłaszcza produkcyjnych dla wsi z roku na rok rosną, a w tym roku — z wyjątkiem niektórych artykułów spożywczych, produkowanych przez rolnictwo — jeszcze bardziej wzrosły w porównaniu z latami poprzednimi. Nie chcą jednak często i nie potrafia tej dźwigni skutecznie używać.

Jedną z przyczyn takiego stanu rzeczy jest niezrozumienie potrzeby prowadzenia wyraźnej, klasowej polityki zaopatrzenia wsi. Gdyby bowiem aktywi GS-ów i PZGS-ów właśnie pod tym kątem gruntownie analizowali swą pracę, dostrzegliby, że nie można sprawy zaopatrzenia puszczać na żywioł, że nie można oddzielać sprawy zaopatrzenia wsi od sprawy wzrostu produkcji rolnej, a sprawy wzrostu produkcji od wzrostu towarowej produkcji wsi, ponieważ wzrost produkcji rolnej jedynie wtedy przynosi pożytek gospodarce narodowej, jeśli towarzyszy mu stały wzrost towarowości produkcji rolnej, stale zwiększanie się masy produktów rolnych dostarczanych na rynek przez gospodarstwa chłopskie.

Przy głębszej analizie społecznych i politycznych skutków swej pracy dokonywanej przez aktyw GS-ów i PZGS-ów okazałoby się, jaką ogromną pomoc dla okiełznania spekulacji i wykupywania artykułów konsumcyjnych przez kuliaka i spekulanta przynoszą takie zarządzenia władzy ludowej, jak planowy skup zboża, kontraktacja, obowiązkowe dostawy mięsa i mleka, reorganizacja rynku cukrowego itp.

Odsłoniłaby się również w całej pełni klasowa treść tych zarządzeń i ich korzystny wpływ na rozwój produkcji, na umocnienie spójni ekonomicznej między miastem i wsią.

Przekonałoby się zarządy GS-ów i PZGS-ów (analiza chociażby samych listów korespondentów ogromnie by im w tym pomogła) jak wiele błędów wynika z zaniedbywania zarówno potrzeb, jak i ogromnych niewykorzystanych jeszcze możliwości produkcyjnych biedoty wiejskiej, która dysponuje najcenniejszym kapitałem dziś na wsi: wolnymi rękami do pracy, przy tolerancyjnym (jakże często) stosunku do kuliaka.

Gdyby zgodnie z genialną formułą Lenin... zarządy GS-ów i PZGS-ów opierały się w swej pracy na biedocie (organizując ją w komitetach członkowskich, z których zbyt często jest dziś wychylana i słuchając uważnie jej skarg oraz projektów usprawnienia pracy, wysuwanych zarówno na zebraniach jak i w krytyce prasowej); gdyby utrzymywali trwałą sojusz ze średniakiem, ale izolując go od wpływów i związków gospodarczych z kuliaktem, i nie przerywały przy tym walki z kuliakiem (poddając jego produkcję przepisom planu, obejmując ją planowym skupem, ograniczając jego tendencje spekulacyjne i eksploatacyjne itp.) — to wyniki ich pracy byłyby z pewnością lepsze i nie spotykałyby się z takim ostrzałem krytyki.

Jej bowiem nasilenie podyktowane jest troską o to, aby w tym trzecim, przełomowym roku Planu 6-letniego wymiana (główna domena pracy GS-ów i PZGS-ów) wypełniała śmiało i pewnie swą rolę jedną z podstawowych dźwigni wzrostu towarowej produkcji rolnictwa, jego rozwoju i przebudowy w kierunku socjalizmu.

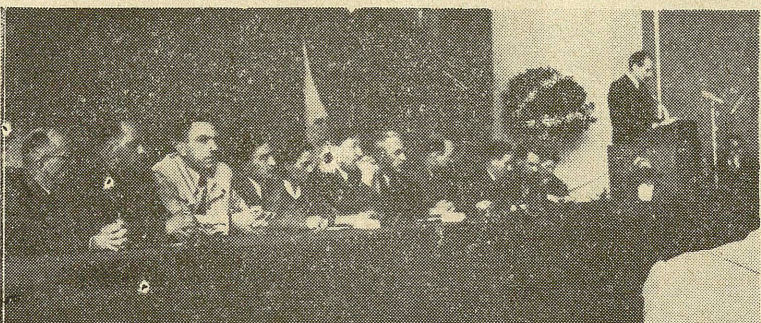
Stanisław Cieślak

IRENEUSZ GWIDON KAMIEŃSKI

POZNAJĄCIE NASZYCH CZYTELNIKÓW

PRZYJECHAŁ KACZMAREK...

W SPOMNIENIA nawiedzają człowieka często w chwilach najmniej spodziewanych. Przyszłość wyrasta przed tobą tak nagle, jak szlaban przejazdu kolejowego przed nadjeżdżającym szosą samochodem — musisz się zatrzymać, choćbyś nie chciał.



Prezydium Zjazdu Przewodników Czytelnictwa wsi Wielkopolskiej w Poznaniu.

Od dłuższej chwili wpatrywałem się w zwróconego profilem do mnie chłopca, usiłując przypomnieć sobie, skąd go znam. Ta chuda twarz, policzki poprzecinane białymi równoległymi do siebie zmarszczkami niby bliznami, siwe włosy przycięte przy samej skórze i nos — długi, trochę przgarbiony, nadający głowie jakiś ptasi kształt, jaki trudno zapamiętać.

Mam! Siedemnaście lat temu, Leśniewo w powiecie gnieźnieńskim. Była niedziela. „Wuj Kaczmarek” założył świąteczną „katangę”, zostawił swoje dwa hektary pachu i nie oglądając się na rozwalającą się chałupę, zwaną przez miejscowych kulaków ironicznie „szopą”, kroczyl w stronę łak. Znalizmy te jego spacer. Każdej niedzieli wędrował drogą, przystając co jakiś czas, oglądając uważnie wszystko wokół, albo też mruczał pod nosem, jakby sam sobie coś tłumaczył. Nie wiem dlaczego, ale byłem przeświadczony, że musi stać się myślicie o swoich dzieciach. Miał ich równo tuzin. Pomyślcie — 12 zgłodniałych berbeciów i ta wydma pod lasem, na której żytko rosło wysokie na łokieć a miejscami nawet i mniejsze...

Siedzieliśmy na skrawku wyskubanej doszczętnie przez bydło łaki: czterech wyrostków. Powierzone naszej pieczy chudeławe krowy pasły się wyjątkowo spokojnie, więc mogliśmy oddać się lekturze. Ścisłe mówiąc, lektorem byłam ja, z tej racji, że miałem szczęście codziennie chodzić do trzeciego oddziału 4-klasowej szkoły w odległym o 3 kilometry Falkowie, podczas gdy koledzy pracowali w do-

mu. A ponieważ rodzice moi uzupełniali w sposób intensywny wykłady nauczyciela, czytałem nieźle. No i rzecz najważniejsza — miałem łaski u pa 1 nauczyciela, który pożyczył mi od czasu do czasu jakąś książkę. Dodać należy, że był on jedynym człowiekiem, jaki w promieniu 10 kilometrów posiadał kilkunastotomową biblioteczkę.

Kaczmarek podszedł ku nam. Nie zauważyliśmy go od razu, pochłonięci rozgrywanymi się na zadrukowanych kartach wydarzeniami. Nie mogłem sobie przypomnieć tytułu tej książki, ale pamiętam co innego: pełen zazdrości wzrok Kaczmarka, jakim wpatrywał się we mnie, napuszonego własną ważnością i uradowanego, że mogę komuś zaimponować. I słowa jego pamiętam, tak pełne bólu i urdki, że uwałem w pol zdania:

— O psiekrewia, żebyś jo umiał czytać!...

Patrzę na tę siwą głowę. Czuje, że mnie w krtani ścisła. Nie, to niemożliwe... A jednak był to Kaczmarek. Przyjechał dziś na poznański zjazd jako przewodnik czytelnictwa.

WYMOWA ZESTAWIEN

W WOJ. poznańskim mieliśmy około 32 tys. analfabetów. W roku ubiegłym Wojewódzka Komisja do Walki z Analfabetyzmem mogła złożyć radosny meldunek, wszyscy zamieszkujący Wielkopolskę obywatele umieją czytać i pisać. Jakże nie przyjąć się teraz, po roku, niektórym chociażby spośród tej armii ludzi, których kapitalizm oddzielił od największego przyjaciela — książki.

Kazimierz Kordylas z Pierska, pow. Konin wybrany został sołtysiem swej gromady a jednocześnie także członkiem GRN w Brzeźnie. Jest jednym z przodujących hodowców w gminie. Mikołaj Podgórski ze Szczerzowa pow. Ostrów Wlkp. pełni funkcję prezesa

(Na marginesie zjazdu przewodników czytelnictwa wsi wielkopolskiej)

koła gromadzkiego ZSCH, Stanisław Świątek z Wileczyna pow. Konin jest kierownikiem gminnej spółdzielni w Witnicy W gromadach Sędziwojowa, Psary Polskie i Sobiesiernia pow. Września absolwenci kursu początkowego nauczania stanowią trzon aktywów świetlicowego. Poważną część, bo około 15% uczestników II etapu konkursu czytelników bibliotek wiejskich, którego zakończeniem i podsumowaniem jest poznański zjazd — stanowią byli analfabeci.

W roku 1938, w przedostatnim roku panowania burżuazji polskiej sieć bibliotek powszechnych na wsi poznańskiej wyrażała się „imponującymi” cyframi: 50 bibliotek z 406 tomami. Dziś — 640 bibliotek i punktów bibliotecznych z 70 586 tomami. W skali krajowej: 1938 — 1033 placówki z 1 700 000 tomów, 1952 — 85 tys. placówek z 55 milionami tomów, czyli na 2800 mieszkańców przypada jedna biblioteka.

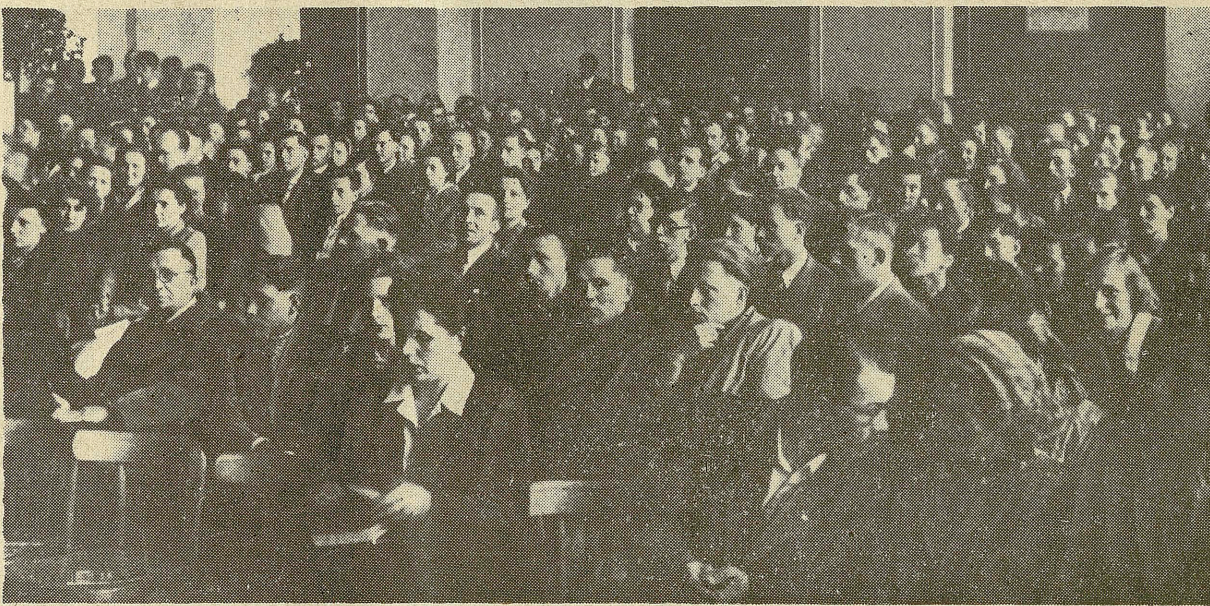
Porównamy jeszcze dane statystyczne o t z Polski i USA. Na jedną bibliotekę przypada osób: w Polsce — 2 800, w USA — 20 331.

W czasie, gdy w Leśniewie, u byłego analfabety a obecnie przewodnika czytelnictwa Leona Kaczmarka rozpoczynał działalność gromadzki

DRUGI ETAP KONKURSU

KONKURS dla czytelników bibliotek wiejskich, zorganizowany na wiosnę 1951 r. przez Związek Samopomocy Chłopskiej miał dwójaki cel: upowszechnienie książki i przeciwdziałanie wtórnemu analfabetyzmowi. Uczestnik miał z załączonej listy wybrać 5 tomów i to: 3 z działu literatury pięknej, 1 z działu literatury marksistowskiej i 1 z działu literatury popularno - naukowej. Wybrane książki należało przeczytać i wypowiedzieć swoje uwagi według pytań na załączonej ankiecie. Cel konkursu zostałby osiągnięty — rzecz zrozumiała — jedynie przy masowym udziale ludności wiejskiej w konkursie. Tymczasem wskutek wadliwej organizacji konkursu w terenie i niedostatecznemu rozpropagowaniu go, I etap konkursu nie przyniósł oczekiwanych rezultatów. W Poznańskim wzięło w nim udział zaledwie 520 uczestników.

Do II etapu natomiast (październik 1951 — maj 1952) stanęło 13 935 uczestników, z tego około 7 000 zorganizowanych w zespoły czytelnictwa, a więc różnica jest olbrzymia. Organizatorzy umieli skorzystać w sposób właściwy z doświadczeń I etapu. Na-



Fragment sali obrad.

punkt biblioteczny, prasa doniosła o masowym zamknięciu bibliotek w USA. Fundusze były potrzebne na zbrojenia, a nie na utrzymanie personelu...

suwa się jednakże uwaga: nasilenie akcji konkursowej w poszczególnych powiatach było bardzo nierównomierne. Istak np. powiat Turek nadesłał aż 4 120 ankiet konkursowych, po-

wiat Gniezno... 5, a powiat Wolsztyn ani jednej.

W Gnieźnie i Wolsztynie zaważyły robotę po prostu Powiatowe Zarządy ZSCH, które nie umiały zmobilizować podległych im placówek do propagandy konkursu. Stąd wniosek, że w III etapie trzeba na wlokące się w ogonie powiaty zwrócić szczególną uwagę i pomóc im, przez wysłanie do branych instruktorów z Zarządu Wojewódzkiego ZSCH. Przykład Turka, cieszącego się w Poznaniu niesłuszną opinią powiatu trudnego do przeprowadzenia wszelkich akcji, świadczy, ile można dokonać umiejętnej organizacji.

Najwięcej wypowiedzi napłynęło na temat „Opowieści o prawdziwym człowieku”. Polewoja. Bohaterstwo Mierosiewa wzbudzało wśród chłopów podziw dla żołnierza radzieckiego. Brali go za przykład gorącego patrioty i bohatera w walce o wolność Ojczyzny. W ogóle — tłumaczenia książek radzieckich chętnie były czytane na wsi. Azajew, Szolochow, Babajewskij, Bek, Gorki, Polewoj, Simonow. Z literatury marksistowskiej głównie dzieła Lenina i Stalina. Natomiast w literaturze polskiej zastanawiali nieliczne pozycje autorów współczesnych (prawie wyłącznie Wasilewska i Kruczkowski) przy wielkim wyborze klasyków: Mickiewicz, Krasiński, Sienkiewicz, Prus, Orzeszkowa, Konopnicka itd. I jeszcze jed-

W województwie poznańskim

cej fachowych wydawnictw w terenie. Zespoły czytelnictwa niejednokrotnie nie ograniczały się do przerabiania lektury. Zespół z gromady Kotłowa, pow. Września zredagował gazetkę ścisną, w której gromada wezwała sąsiednie do współzawodnictwa w podnoszeniu wydajności z ha. W samej Kotłowie członkowie zespołu pozyskali 7 średniaków do indywidualnego współzawodnictwa w kontraktacji żywcia. W Kątach, pow. Września po przeczytaniu i odczytaniu sztuki „Tama” Chałata, zespół rzucił hasło: „Odwodnijmy nasze łaki”. Do 1 go maja gromada postawiła 7 zapór wodnych i osuszyła wszystkie pastwiska.

Z DOŚWIADCZEN MARII WALCZAK

NIE wiem jak wyglądała Maria Walczak. Na ankiecie podała o bok nazwiska kilka informacji: wiek — 37 lat, zajęcie — robotnica rolna i kierownik świetlicy, adres — Kornaty, powiat Września. Prowadziła zespół czytelnictwa i doświadczeniemi ze swej pracy dzieliła się na arkuszu papieru, zapisanym niewprawnym pismem. Fragmenty przytaczam bez zmian.

— „Nasza gromada była do niedawna ziołąną wioską, gdyż działały na nią skrycie jakieś wrogie elementy. Ludzie nie chcieli czytać gazet, a książki, które były w biblioteczce, uważano za nie wartościowe. Gniewało mnie to strasznie. Postanowiłam walczyć aż do zwycięstwa, bo bardzo dobrze pamiętam, jak mnie skrzywdzono w szkole przedwojennej. Będąc najlepszą uczennicą dostawałam najgorsze świadectwo, bo byłam córką robotnika”.

Maria zaczyna agitować. Z biblioteki nie chcą pożyczać więc wiejska chłopom swoje własne, za uciulane pieniądze kupione książki. Szło opanie, ale kilkunastu wzięło. Niektórzy z nich przeczytali, polecili sąsiadom. Gdy gromada chodziła „na stonkę”, podczas przerw w pracy Maria wyciągała z zanadru książkę i głośno czytała. Z początku śmiali się z niej, ale później coraz więcej słuchaczy zjawiało się wokół upartej kobiety. Rezultat?

— „Gdy „Rolnik Polski” i „Przegląd” ogłosili konkurs (dla czytelników bibliotek wiejskich — przyp. mój) próbowałam namówić niektórych i udało się mi, ale zatwardziali nie chcieli. Za własne pieniądze zabronowałam dla nich „Rolnika Polskiego”. Z początku nie chcieli brać, ale się przyzwyczaili, teraz „Rolnik” abonują i z odcinków składają sobie własną bibliotekę rolniczą”.

(Dokończenie na str. 5-ej)

JAN ANT CZAK — kier. bibl. pow.

K S I A Ż K A W P O W I E C I E

PIERWSZE KADRY

D ALEKIE to już chwile, kiedy w powiecie krotoszyńskim obchodziliśmy pierwsze Dni Oświaty, uroczyste ogłoszenie Dekretu o bibliotekach i wprowadzenie na polski biblioteczną Książkę Nr 1 — „Dzieje miasta Krotoszyna”. Posypały się wówczas setki dzieł darowanych przez mieszkańców wsi i miasteczek. Do pierwszej wypożyczalni i czytelnicy w mieście powiatowym garnęli się tłumnie ci, którzy bacznym okiem śledzili co przynosi nowy ustrój, jaka będzie ta wspólna ojczyzna pod rządami mas ludowych.

Pierwszymi czytelnikami byli szczególnie, którzy mogli czytać słowo drukowane w nowym kraju. Zapal czytelnicy z przerażeniem możliwości polek bibliotecznych. Co najmniej połowa czytających rekrutowała się ze wsi okolicznych i dalszych w powiecie. Wypowiadali oni śmiało hasło: nasze to książki i wasze, dajcie je również do nas. Mogliem więc łatwo uchwycić właściwy tor rozwoju czytelnictwa na terenie wiejskim własnego powiatu. Droga była jedna: ruch! Kolektyw czytelnictwa całego powiatu brał udział w doborze książek, co zmuszało mnie do szybkiego ich rozprowadzania. Inwentarzem były wykazy ściśnięte, a katalogiem — swobodny dostęp czytelników do polek. Tak przetrwał lat 1946 roku przy tysiącach tomów, a kiedy nadeszła jesień pracowaliśmy już 13 punktów bibliotecznych na wsiach z drugim tysiącem dzieł. To było bodźcem dla miejskich i gminnych rad narodowych, które utworzyły w ciągu roku 1947 własne biblioteki oraz przydzieliły etatowych pracowników. Była to pierwsza kadra biblioteczna powiatu.

Dzięki naszemu zobowiązaniu podjętemu na apel kopalni Zabrze-Wschód przekroczyliśmy w roku 1948 liczbę szkół podstawowych ilością punktów bibliotecznych w obrębie powiatu. Czasopismo zawodowe (Bibliotekarz Nr 12-48) zwróciło nam jednak uwagę, że to jeszcze nie wszystko, gdyż nie łatwo jest uczucie i szybko przeprowadzić gruntowną rewizję pojęć, kształtowanych latami przez idealistyczne doktryny. I rzeczywistość — daleko nam jeszcze było do osiągnięcia normy przygotowania podstawowych kadr, przodowników wszelkich dziedzin życia. Wśród czytelników było wówczas jeszcze sporo snobów, goniących za sensacją brukową, ale przeważali ludzie pracy. W ostatnim roku planu trzyletniego wzmocniliśmy nasz potencjał książkowy, gospodarczy i czytelnictwa. Podnosiliśmy stopniowo nasze szkolenie w spotkaniach z czytelnikami.

WNIOSKI Z KONKURSU

Pierwszy rok Planu 6-letniego dał nam pokazywać zysk, oparliśmy się bowiem na kadrach ZMP-owskich. ZMP świeciło wtedy swój triumfalny marsz przez wieś i miasto.

Następny rok przyniósł jeszcze lepszy materiał propagandowy w rozwoju czytelnictwa, kiedy Zarząd Główny ZSCH rzucił ogromne siły i kredyty na przeprowadzenie konkursu dla czytelników bibliotek wiejskich. Nie wykozystaliśmy jednak w pełni tego zwycięstwa ZSCH w następnym etapie konkursowym, choć zwiększyła się pięciokrotnie liczba biorących udział w zespołach czytelnictwa. Widząc jednak, że ZSCH umie prowadzić akcje czytelnictwa na terenie wsi, my zaś umiemy uporządkowywać nieinwentaryzowane i opuszczone biblioteczki, podjęliśmy to zadanie ze świadomością, że będzie to pionierska akcja nad zakładaniem silniejszych bibliotek gromadzkich. A że nie ma pracy bez zysku, doszliśmy tą drogą do następnej naszej formy walki o unowocześnienie i umosowanie wiedzy książkowej, do hasła: rozwijajmy życie świetlicowe.

A jak wyglądała świetlica gromadzka i organizacyjna na terenie wsi? Przecież do nich należałoby przenieść punkty biblioteczne. Są świetlice, jest ich wiele, mają niezłe często umebowanie i opał oraz oświetlenie zapewnione — niekiedy tylko czegoś brak, najczęściej nie ma ludzi, i rozwiniętego życia świetlicowego. Może nie ma organizacji młodzieżowych, chłopskich, kobiecych? Są. Jednakże od czasu gwałtownego przyrostu etatowych stanowisk w tych i innych organizacjach na szczeblu powiatowym i gminnym runęła praca aktywna, kolektywu kół organizacyjnych na wsi.

Zdawało się zatem, że nie ma tak gwałtownej potrzeby przerzucania punktów bibliotecznych ze szkół do świetlic gromadzkich. Jednakże pewne momenty pracy czytelnictwa wskazują na to, aby nie zwlekać, a mianowicie: mamy czytelników bez czytelnictwa, mamy czytelników bez czytelnictwa, bez możliwości odbywania narad czytelnictwa i pracy kolektywnej z książką na własnym podwórku; po drugie: mimo zaścizny osiągnięć punktów bibliotecznych przy szkołach podstawowych coraz częściej spotyka się w nich wydawanie książek dla dorosłych za pośrednictwem dzieci-uczników i częste praktyki prowadzenia wypożyczania przez starszych uczniów książek nie dla wieku dziecięcego. Właściwym byłoby to od czegoś wyższymi tj. umożliwienie czytelnikom dorosłym poznania książki przed jej wypożyczeniem do domu lub do pracy w zespole konkursowym. Wiemy ponadto, że większość bibliotek w życie gromady, któ-

rych podstawowymi instytucjami kultury są świetlice, wymaga od bibliotekarzy zespołności się z tym ruchem, jaki w świetlicach ma się tworzyć. Nie oznacza to bynajmniej, by kierownikami punktów bibliotecznych przestali być kierownicy szkół i nauczyciele, wykażą się oni bowiem niejednym jeszcze osiągnięciem w rozwoju socjalistycznej kultury pomimo wciągania się ich w każdą pracę na terenie wsi. Taki jest nasz schemat pracy, która wcale nie zakłada ograniczeń w metodach upowszechnienia książki.

POD OPIEKĄ RAD NARODOWYCH

Z objęciem urzędowania przez prezydium rad narodowych w roku 1950 sprawy biblioteczne w powiecie krotoszyńskim stały się jednym z zagadnień systematycznie omawianych na posiedzeniach i sesjach rad narodowych w powiecie. Czytelnictwo nabyło tym samym praw obywatelskich i doznało zaszczytu; upowszechniało się więc bez przeszkód przy zwiększeniu wymagań.

W roku ubiegłym równo z przygotowaniami gospodarczymi do akcji jesienniej weszły na porządek dzienny powiatowej rady narodowej sprawy czytelnictwa a w szczególności konieczność pobudzenia współzawodnictwa międzybibliotecznych. Zebrani na sesji bibliotekarze wypowiedzieli się wspólnie. Apel ten skierowano do Prezydium WRN w Poznaniu, gdzie nie było jeszcze tej atmosfery, jaka już panowała na szczeblu powiatowym. Obawy nasze znikły jednak z chwilą ogłoszenia przez zespół bibliotekarzy województwa warszawskiego wezwania do współzawodnictwa wszystkich bibliotek i punktów bibliotecznych województwa łódzkiego i poznańskiego.

Sekretarz Prezydium PRN, ob. Dużiński, zachęcił bibliotekarzy do aktywnego udziału we współzawodnictwie, udzielił rad i gniewał się, kiedy przez dłuższy czas nie pokazywałem mu się na oczy. Powiadał: „Jak będziecie u mnie częściej, to i co powiecie na temat waszej pracy, bo z próżnymi rekami to tak — widziacie — nie przychodzi się ani nie odchodzi, a trudno abym o waszym złym czy dobrym wiadom był okejnie i niespodziewanie, nieprzychylny”. Gdy protestowałem przeciw kierownikowi mnie do akcji zbóżowej na cały tydzień, uzasadniając wniosek mój koniecznością przygotowania do akcji współzawodnictwa, otrzymałem odpowiedź, że na terenie wsi lepiej poznać potrzeby czytelników i łatwiej ustalić metody pracy z chłopami. Oczywiście, że praca społeczna bibliotekarzy w terenie jest konieczna i daje prawdziwe zetknięcie

się z życiem robotników, spółdzielców i chłopów indywidualnych. Ale co innego, gdy ten i ów biurokratyzujący pracę członek przedsiębiorstwa gminnej i miejskiej rady narodowej wiejska bibliotekarzowi nie kończący się rejestr prac innych referatów, rzekomo z tego powodu, że w bibliotekarstwie nie ma roboty. Bardziej właściwe byłoby za wzorem wymienionego wyżej sekretarza prezydium mobilizować bibliotekarzy i pomagać mu w zdobywaniu utracionej łączności z terenem, bo pracując on w warunkach niełatwych i często zaniedbuje się z tego powodu, że raz wytrącony z prawidłowego toku pracy nie potrafi do niego powrócić.

KIEROWNIK NA ROWERZE

Pracuje w powiecie krotoszyńskim 96 punktów bibliotecznych na 100 zaplanowanych na rok bieżący, w tym jeden w mieście. Jedna powiatowa, 6 miejskich i 8 gminnych bibliotek publicznych posiada pełną i wystarczającą obsadę osobową. Praca może rozwijać się należycie mimo rozpiętości wachlarza uzdolnień pracowników bibliotecznych, ideologicznego przygotowania do pracy oraz upowszechnienia w życiu pozabibliotecznym. Podział administracyjny powiatu jest tak różnorodny, że trudno stosować dwa identyczne sposoby działania. Tu etat dla 1400 mieszkańców, tam dla 10 000; tu nagromadzenie bibliotek innego typu, tam zupełny brak konkurencji; duży punkt biblioteczny ma okazałe wyniki, gdy małymi zamarł.

Mimo hasła „ciągłego ruchu książek” bazowaliśmy długo i dużo na administracyjnym wglądzie w działalność bibliotek. Dopiero współzawodnictwo międzybiblioteczne pozwoliło nam przejść na właściwą formę akcji bibliotecznej, wyróżniły się mianowicie biblioteki gminne z ich „kierownikami na rowerze”. A jak? to przeskok, niech posłużą przykłady: Gminna biblioteka publiczna w Rozdrażewie znajdowała się pod koniec ubiegłego roku na 30 miejsc wśród gmin wiejskich województwa. Przejście kierowniczką biblioteki i częstszą obsługę punktów bibliotecznych na własnym rowerze czyli rozwiniecie skrzydeł akcji werbunkowej czytelników wyszło teren tejsze gminy na pierwsze miejsce. Podobnie i inne gminy wiejskie przesuwały się ku przodowi np.: gmina Koźmín z 39 na 9, gmina Pogorzela z 68 na 10, gmina Kobylin z 56 na 14, gmina Krotoszn z 126 na 24, gmina Dobrycza z 116 na 34, gmina Ligota z 129 na 96 — a tylko gmina Zduny cofnęła się z pozycji 125 do 159 na 203 gminy wiejskie. Na tych przesunięciach ku przodowi punktów bibliotecznych na tere-

nie wiejskim polega zwycięstwo całego powiatu, który osiągnął pierwsze miejsce w województwie poznańskim.

Mniej wydajnymi okazały się prace bibliotekarzy miejskich, nie dostrzegali oni bowiem jeszcze zaulek biedniackich i niskich domków robotniczych. Pytając kierowników bibliotek gminnych jak wygląda praca punktów bibliotecznych otrzymywałem najczęściej odpowiedź, że chłop indywidualni i spółdzielcy oraz robotnicy pegeerowskie czekali na książki. Tak, mogli czekać nawet długo, bo bez akcji nie potrafimy jeszcze docierać tam, gdzie oczekują na nas.

Rozumiem to jako brak stałego współzawodnictwa czynników gospodarczych, politycznych i oświatowo-kulturalnych.

NOWY CZYTELNIK — NOWA KSIĄŻKA

Liczba księgozbioru bibliotecznego w powiecie w zakresie bibliotek publicznych jest ogromna i wyraża się stosunkiem 6 1 mowa na 7 mieszkańców. Liczba czytelników aktywnych w I kwartale br. wynosiła 13 proc. liczby mieszkańców, z czego 38 proc. stanowiły robotnicy i chłopcy oraz członkowie ich rodzin powyżej 16 lat bez młodzieży kształcącej się.

Według statystyki z końca 1951 roku 47 proc. czytelników to mężczyźni, 53 proc. kobiety; 28 proc. przypadało na wiek poniżej 15 lat, 29 proc. na okres od 15 do 18 lat, a 43 proc. w grupie dorosłych. Średnio przeczytał jeden czytelnik w ciągu roku 25,3 tomów. W okresie współzawodnictwa tj. od 1.11.1951 roku do 31.3.1952 roku średnia wypożyczeń na jednego czytelnika wynosiła 15 tomów, w tym 1,5 tomu książek popularno-naukowych.

C zmieniło się na przestrzeni 6-ciu lat w zakresie doboru książek żądanych przez czytelników? Ci, którzy żądali lektury sensacyjnej odpowiadali, nie widząc dla siebie możliwości wyzwywania się i korzystania dziś po cichu z nowych książek, przynoszonych do domu przez ich dzieci. Sprawa literatury o tematyce walki o lepsze jutro nie stanowi już czegoś osobliwego. Czytelnicy zryli się z nową książką, która powoli ale konsekwentnie zbliża się do nowego życia. Biorą oni aktywny udział w pracy bibliotekarzy: nad przestereganiem odpowiedniej wartości księgozbioru. Wracamy im przy wypożyczeniu, względnie zwrócić każdą książkę apel w sprawie lektury. Spodziewamy się niewielu, ale za to treściwych odpowiedzi czytelników.

Energia bibliotekarzy i kierowników punktów bibliotecznych obaliła naj-

śmielsze przewidywania. Kierowniczka punktu bibliotecznego, która nie wierzyła kiedyś, że ma dość siły na podjęcie trudnego zadania spółdzielni produkcyjnej, dziś jest jej współorganizatorem i krzewi czytanie dobrej, kształcącej książki przy... darcu pierza i innych okazyh. Nie może dokonać za następnym spotkaniem czytelnia poprzedniego utworu, bo poznała go już ołowia obecnym u siebie w domu. Zaczyna więc wciągać nowe, ciężkie, nieznane dzieła socjalizmu i historycznej walki o byt robotnika i chłopca. a czytelnicy-słuchacze poznają je w całości przy nowym oświetleniu ich mieszkań.

Nasilenie czytelnictwa bibliotecznego wymaga się, również i we wrasta rozprowadzanie książek przez Dm Książki i współpracujące z nim Gminne Spółdzielnie ZSCH. Najaktywniejszym „krzykiem mody” w powiecie jest obecnie sprawa rozprowadzania książek i czasopism rolniczych, gdy odcinek fabryczny ma już za sobą szereg akcji książkowych i w dalszym ciągu bierze udział w rozprowadzaniu dzieł socjalizmu.

Sprawa sprzedaży książek łączy się z zagadnieniem księgonosy, którzy rekrutują się przeważnie z ZMP-owców. I słusznie, bo nikt lepiej od nich nie potrafi wykonywać zadań specjalnych. Spróbować też werbować ZMP-owców jako księgonosy bibliotecznych. Uczyniła to miejska biblioteka publiczna w Pogorzeli. Wywiązała się z tego należycie. Biblioteczka ma stać się liczącą około 1400 mieszk. fów przybyło 69 nowych czytelników. Ale w tym samym czasie lokal świetlicowy ZMP straszliwie upstrzymany od... iesięcy przez muchy afizami. Coś nie gra w tym połączeniu nowego ze starym.

Zastanawia mnie ciągle czy winienem werbować aktyw ZMP-owski i czy przez to młodzież udoskonali swe prace organizacyjne? Nie widząc innego wyjścia wybrałem chwilowo to, że nawiążę częsty kontakt z etatowym personelem ZMP w dwu kierunkach: aby po pierwsze podnieść aktywność bibliotekarzy i kierowników punktów bibliotecznych z grona ZMP, i po drugie, aby służyć spostrzeżeniami, jak i gdzie należało zreorganizować nieżywe koła ZMP, dla ich, dobra własnego, dla podniesienia opieki nad niezorganizowanymi. Książka wtedy łatwiej przyjmie się i zakorzeni swoje hasła w życiu codziennym.

Jan Antczak
kier. bibl. pow.

LEONARD SOBIERAJSKI

„CHŁOP” REYMONT

Wł. St. Reymont
mal. L. Wyczółkowski

PRZED dzisiejszym czytelnikiem „Chłop”, który w dziełach literackich określonej epoki szuka obrazu rzeczywistości historycznej, staje podstawowe pytanie, na ile powieści Reymonta odbiły się zasadnicze procesy, jakim warstwa chłopstwa ulegała na przełomie XIX i XX wieku.

Analiza „Chłopów” powinna dokonać dwóch zabiegów badawczych: po pierwsze: określić, w jakim stopniu Reymont poddał się ideologicznemu naciskowi klasy panującej przy doborze i ukształtowaniu materiału, dostarczonego mu przez obiektywną rzeczywistość. Po drugie: prześledzić, ile z tej rzeczywistości autor materiału zaczerpnął, jaka wartość dla przedstawianej epoki ten materiał posiada, czy dostarcza on czytelnikowi przesłank dla wyciągnięcia słusznych wniosków o kierunku rozwojowym ówczesnej wsi.

Analiza ta nie byłaby jednak pełna, gdybyśmy nie uwzględnili w niej jeszcze jednego czynnika, a mianowicie czasu, w jakim dzieło powstało. Reymont pisał dwie części „Chłopów” — „Jesień” i „Zimę” publikując w Tygodniku Ilustrowanym w latach 1902-3. „Wiosna” pojawiła się na łamach Tygodnika w 1905 roku, „Lato” dopiero w 1908. Sytuacja społeczna i polityczna tych lat oddziaływała na sposób niezmierznie typowy dla literatury tego okresu na zawartość treściową „Chłopów”. Pierwsze tomy powieści pisane przed 1905 r., mimo ideologicznego ograniczenia autora, trafnie ukazują dojrzewanie chłopstwa do rewolucyjnej burżuazyjno-demokratycznej, ostatnie natomiast ujawniają wyraźną rezygnację pisarza z realistycznej obserwacji rzeczywistości. Tomy te zrodzone z leku przed rewolucją proletariacką zamazują istotną sytuację podstawowych mas chłopskich, starając się nakreślić złudne szanse utrzymania się i rozwoju wsi w ramach istniejącego porządku.

Reymont pozostawał w zasięgu ideologicznego oddziaływania czasopiśmi „Głos”, które sugerowało, że wobec zastraszających się sprzeczności kapitalizmu, wobec narastania rewolucji proletariackiej w ludzkiej wieloletniej przeszłości, należy szukać źródeł społecznej równowagi. Z tej sugestii wypływały określone dyrektywy, które zamaskowały ideologię burżuazji podsuwając pisarzom w epoce rodzącego się imperializmu. Ich podstawową przesłanką była teza, że chłopstwo to odrębna warstwa w narodzie, że jego losy zupełnie inaczej kształtują się niż losy klasy robotniczej, że pozostaje ono całkowicie poza konfliktami, jakie rozgrywa się między proletariatem a burżuazją. Rzeczywista sytuacja wsi z lat dziewięćdziesiątych, gdy szybko postępowało jej zróżnicowanie społeczne, gdy kapitalizm wyzwał z ziemi masy drobnych, została w koncepcji ideologów „Głosu” przysłonięta mitem samodzielnego chłopstwa, z całą nadbudową kultury ludowej, obyczajowości i swoistego trybu życia. Glorifikacja chłopstwa, która znalazła swój wyraz w akcentowaniu w ludzie jego fizycznej i zdrowotnej moralności, jego godności i dostojności, które wyrobił w sobie na skutek trwałego związku z ziemią i współżycia z naturą. Wszystko to miało dowodzić, że wsi w kapitalistycznym porządku znajduje się na drodze wzrostu.

Reymont przetransponował tezę „Głosu” w kształt literacki „Chłopów”. Odbija się to w ogólnej konstrukcji dzieła, w koncentrowaniu pisarskiej uwagi na tych elementach życia wiejskiego, które w założeniu autora mają wyrażać całą specyfikę chłopstwa odrębności w zakresie materialnego i kulturalnego bytowania. To jest podstawowy motyw kompozycyjny powieści. Życie Lipiec, ukazane w czterech kolejnych porach roku, wpisane jest w odwieczną powtarzającą się rytm natury, wyznaczający roczny cykl chłopiejskiej pracy. Autor przetransponował ten rytm, aby przedczytelnikowi przedstawić obraz życia wiejskiego, który w założeniu autora mają wyrażać całą specyfikę chłopstwa odrębności w zakresie materialnego i kulturalnego bytowania. To jest podstawowy motyw kompozycyjny powieści. Życie Lipiec, ukazane w czterech kolejnych porach roku, wpisane jest w odwieczną powtarzającą się rytm natury, wyznaczający roczny cykl chłopiejskiej pracy. Autor przetransponował ten rytm, aby przedczytelnikowi przedstawić obraz życia wiejskiego, który w założeniu autora mają wyrażać całą specyfikę chłopstwa odrębności w zakresie materialnego i kulturalnego bytowania.

Równoległe do ciągu gospodarskich zajęć odsłania się w powieści tok obrzędowo-religijny życia wsi. Autor w starannie wymodelowanych obrazach przesłania przed czytelnikiem roczną panoramę świat w całej ich zwyczajowej oprawie. Ten niesłychanie obfity zapis, niespotykany w żadnej z powieści o tematyce wiejskiej okresu pozytywizmu ma wskazywać, że wieś trwała nadal w „porządku kościelnym”.

W latach dziewięćdziesiątych nasi ideolodzy burżuazji od liberalno-mieszczanckiej „Prawdy” poprzez „Ludowy” „Głos” aż do szlachcko-klerykalnego „Tygodnika Ilustrowanego” podejmują się obrony „ludu wiejskiego” przed „ludźmi przewrotnymi”, tak bowiem określili działaczy robotniczych papieska encyklika „Rerum Novarum”. Burżuazja w obronie własnych zagrożonych interesów przypomniała sobie wówczas hasło: „Lud potrzebuje religii”. Wyrażenie się ona postępowych tradycji pozytywistycznych na rzecz fideizmu, spirytualizmu, symbolizmu — tu szukając oparcia i obrony przed walką ludu.

Na taki klimat natrafia młody Reymont, gdy w roku 1893 przybywa do Warszawy, by z kilkoma rękopisami nowel i opowiadań szturmować redakcję czasopism literackich. Wówczas wydawca „Tygodnika Ilustrowanego” Wolf powie mu: „Pan był w tamtych rzeczach strasznie realistyczny i takim jakimś ateistycznym nawet”.

Wówczas i Aleksander Świętochowski, liberal burżuazyjny, walczący w „heroicznym” okresie naszego mieszczaństwa o pełnię swobód burżuazyjno-demokratycznych, dawny entuzjasta Darwina, bojownik o świecką naukę, antyklerykał — będzie sugerował, jak wynika z jego wspomnień o Reymontcie, obiecującemu debiutantom temat właśnie z kategorii „Lud potrzebuje religii”.

Także i na kartach „Chłopów” Reymont przywołując liczne opisy świąt i uroczystości kościelnych, rozpatrując wieś jako podmiot, który w tych formach zaspakaja swoje potrzeby życia duchowego, utrwała patriarchalny obraz chłopstwa, ukształtowany przez feudalno-pańszczyźniane stosunki. W tym obrazie przeżyca, jakich ludowi dostarczał kościół, miały stanowić podstawę rekompensującą całkowicie niedostatek materialną i kulturalną wsi.

Autor w „Chłopach” potraktował równie szeroko stronę obyczajową życia wiejskiego przedstawiając wieczorne zabawy w karczmie, obrzędy weselne, muzyki i gościnny sąsiedztwie. Te partie powieści, mające ilustrować barwność, tężyżnę i żywiołowość chłopstwa, stanowią trzecią z reymontowskich klisz. W istocie odbija ona ekonomiczną sytuację co przednie-

W dniach 5 i 6 maja br. odbyła się w Krakowie sesja naukowa Instytutu Badań Literackich, poświęcona problemom literatury polskiej końca XIX i początku XX wieku. Sesja obejmowała 9 referatów, poświęconych w pierwszym rzędzie twórczości Żeromskiego, Witkiewicza, Kasprzowicza, Reymonta, Wyspiańskiego i Orkana. Zarówno referenci jak i dyskutanci poświęcili wiele uwagi problemowi odzwierciedlenia w literaturze epoki sytuacji wsi polskiej tego czasu i procesu narastania ruchu ludowego oraz ustaleniu, o ile zobrazowanie tych spraw ukształtowało realistyczne oblicze czelowych utworów epoki. Ponizej publikujemy fragmenty trzech referatów wygłoszonych na sesji, w których znalazła swe odbicie problematyka wsi polskiej na przełomie XIX i XX wieku.

Wielu z nas, w założeniach dzieła spełnia jednak zgoła inną rolę, sugeruje mianowicie, że cechy wymienione to właśnie naturalna pochodnia miło wszystko ogólnie sprzyjających warunków bytowania wsi.

Na początku naszych rozważań postawiliśmy pytanie, jaką wartość dla przedstawionej epoki posiada materiał, który Reymont literacko zużytkował w swojej powieści o wsi? To jest istotne zagadnienie dla określenia i oznaczenia wartości dzieła. By odzywać na nowo „Chłopów”, należy spoza literackich klisz wydobyć te warstwy utworu, w której zarysowały się realne procesy kształtujące wieś pod koniec XIX wieku.

Autor „Chłopów” znał środowisko wiejskie z bezpośredniego doświadczenia. Datuje się ono z czasów, gdy jako niedługo platny funkcjonariusz kolejowy spędził kilka lat 1891-93 w podskarbnictwie wsi Krosnowie. Z tego



Mal. Apoloniusz Kędziński

okresu pochodzą jego pierwsze chłopskie opowiadania. Odkryta wówczas przez niego prawda, że stosunki wiejskie rządzi kapitalistyczna moralność, to właśnie kąt, pod jakim „oświecił” i ustawiał do oglądania życie chłopskie w nowelach takich jak „Śmierć” czy „Tomek Baran”. Suma zebranych w tym okresie doświadczeń to kapitał, z którego czerpał obficie

przy kręceniu obrazu Lipiec. Autor pod naciskiem burżuazji zmienił tu kąt, pod jakim ustawia do oglądania rzeczywistość wsi, ale wniósł w dzieło tak bogaty materiał, że pozwala on czytelnikowi odczytać istotne konflikty, jakie formowały pańszczyźnianą wieś, porwaną przez tryby kapitalizmu.

Reymont, przedstawiając w obrazie Lipiec wieś Krosnowa z końcówki lat ubiegłego wieku, oparł fabułę powieści na konflikcie, który ujawnił się wówczas z szczególną siłą — to zaostrzający się antagonizm między wsią a dworem, na tle sporu o serwituty. Reymont trafnie koncentruje uwagę na tym właśnie problemie, ukazując na gromadzie lipieckiej, jak pod wpływem tego zamachu dojrzewa w masach chłopskich świadomość klasowa, jak rodzi się w nich potrzeba obrony zagrożonych interesów.

Reymont ukazując jak w ostatecznym rezultacie swego czynnego wystąpienia Lipce zmusili dwór do korzystniejszego dla nich załatwienia sprawy, samą obiektywną wymową faktów przekonywał, że jedynie na drodze walki chłopcy mogą poprawić swoją sytuację. Wskazywał, że „spór o las” utwierdził autor klasową świadomość chłopstwa, odsłaniając nieuchronną sprzeczność interesów między wsią a obszarnikami.

Co szczególnie uderza w obrazie reymontowskich Lipiec, to dokładne widzenie klasowego rozwarstwienia chłopstwa. Autor chce odwrócić całokształt stosunków, panujących w gromadzie, dał bogatą galerię postaci, którymi zilustrował wszystkie kategorie społeczne wsi.

Reymont obserwując funkcjonowanie kulackiej gospodarki Borynów kupi uwagę na trybie życia i postępowania bogaczy wiejskich, ale równocześnie pokazuje szeroki krąg ludzi, pozostających od nich w ekonomicznym uzależnieniu. Na kartach powieści poznajemy twarde losy parobka Kuby, dojadającego się o głodnym życiu w wyrobie wiejskich.

Sytuację dobrobytu chłopstwa Reymont przedstawił, przenosząc Antkowi do chaty starego Bylicy. Pokazał również trudne warunki średniaka Kieba, gdzie przetrwał przy ciężkiej rodzinie także zagrażał głodem. Gdy pi-

sarz zbliża się do konkretnych chłopów, gdy przysłuchuje się i ocenie własnego życia, pękają literackie klisze, zapożyczone od ideologów burżuazji. Uogólnieniem głoszącym pochwałę chłopiejskiego trybu życia, przeciwstawia się wtedy ostro komentarz, stwierdzający odmienny stan rzeczy.

Reymont niejednokrotnie dopuszcza do głosu reprezentantów biedoty wiejskiej, co więcej wyposaża ich w głęboką świadomość klasową. Przy pomocy takich postaci jak Kozłowa, Kobus a szczególnie Jagustynka, obnaża sprzeczność wewnętrzne wsi, ukazując linie klasowego podziału.



rys. Franciszek Kostrzewski

W reymontowskiej wizji Lipiec zarysował się wyraziście obraz kapitalistycznej wsi, w której siłą gospodarczą i społeczną jest grupa kulaków i przedsiębiorców, oni to trzymają w garści całe Lipce. W swoich dużych gospodarstwach posługują się pracą najemną, wykorzystując liczną biedotę wiejską, przeważnie na prawach „odrobku”.

O chłopach lipieckich padają w powieści słowa: „Dyć się już cisnęli na swoich zagonach kiej mrówki, dyć ledwie się już przeżywali ode żniw do żniw”. Reymont dokonując trafnej obserwacji układu stosunków w gromadzie wiejskiej, cofnął się przed wniesieniem jedynie słusznego wniosku, że mechanizmem społecznym wsi rządzi kapitalistyczne prawo, że one powodują ruinę podstawowych mas chłopskich.

W dwóch pierwszych tomach powieści autor ukazując wybuch utajonego antagonizmu między wsią a dworem, odsłonił głębsze korzenie konfliktu przez podkreślenie faktu, że kurczące się chłopskie parcele nie zapewniały ich posiadaczom nawet najniezbędniej-

szych środków do życia. Pisarz demaskował wówczas w obszernym klasowym wrogu wsi, wskazując, że w jego ręku skupia się nadmiar ziemi. To przenikliwe spojrzenie na sytuację wsi, konstytuujące klasową świadomość chłopstwa zatrze się w tomach końcowych powieści. Reymont snując dalszą opowieść o Lipcach nie będzie już manifestował wrogię postawy wsi wobec dworu. Wprowadzenie w tym momencie wątku walki wsi z kolonistami niemieckimi ma swoją wyraźną ideologiczną wymowę. Stworzenie tej nowej sytuacji wynera ze świadomości gromady lipieckiej poczucie krzywdy społecznej. To już nie dwór stoi gromadzie na drodze, a Niemcy. To przesunięcie w powieści akcentu z walki klasowej na problem narodowy odzwierciedlało ówczesną taktykę burżuazji.

Tym wątkiem Reymont stworzył już pomost do porozumienia wsi z dworem, wprowadzając na karty powieści problem parcelacji jako szansę rozwoju wsi w ramach burżuazyjnego społeczeństwa. Przez zmuszenie kolonistów niemieckich do opuszczenia Podlesia gromada ma pełne poczucie zwycięstwa. Kto zebrał owoce tej walki? Do parcelacji przystępują co zamożniejsi chłopcy. Autor nie wspomina tu więcej o losie tych, którzy „ledwie się już przeżywali ode żniw do żniw”. Na nowej kolonii osiadają Płoszkowie, Grzelowie, synowie zasobniejszych średniaków, najlepsza parcela dostaje się spekulantom wiejskiemu — kowalowi. Reymont tę rzeczywistość przystawia, w tej nowej sytuacji wysunie na pierwszy plan Szymka Dominikow, który nawet „wbrew radom dziedzica kupuje na spłaty sześć morgów najniezwyklej, płaszczystej i kamienistej ziemi. Na postaci Szymka autor dokumentuje, że chłop nawet na najłżejszej parceli daje sobie radę. Reymont z najwyższą aprobatą przygląda się „nowemu gospodarzowi, który „idzie w górę”. Szymek jest tu wzorem chłopca, któremu daje się szansę awansu na gospodarza.

Autor przeprowadzając trafną analizę stosunków kapitalistycznej wsi, odsłaniając w niej system wyzysku, odstrzegając ruinę podstawowych mas chłopskich, dał obraz chłopstwa zgodny z obiektywną rzeczywistością. Pisarz ukazując możliwości poprawy losu wsi na drodze parcelacji z wykupu dowiódł swoją wcześniejszą analizą fikcyjności tego rozwiązania. Inspirowany przez burżuazyjny ideolog chłopskiej parceli popada w swoich wnioskach w sprzeczność z przesłankami, których dostarczał artysta czujnie obserwujący procesy, jakim ulegała wieś na przełomie XIX i XX wieku.

Leonard Sobierajski

HENRYK MARKIEWICZ

O NOWELACH CHŁOPSKICH



Stefan Żeromski

PIERWSZE opowiadania Żeromskiego powstają u progu okresu, w którym dojrzały obiektywne warunki historyczne do walki proletariatu i podstawowych mas chłopskich o całkowite usunięcie pozostałości feudalnych, o przewrót burżuazyjno-demokratyczny, a więc w pierwszym rzędzie o likwidację obszarńszczyźnianą ziemią i obalenie absolutyzmu carskiego. Utwory Żeromskiego, ukazujące najbardziej zaogniony wykład konfliktu między chłopem a obszarnikiem uczestniczyły aktywnie w ideologicznym przygotowaniu tej walki: ich postępowej, rewolucjonizującej funkcji nie pomniejsza oczywiście fakt, że w Polsce nie został urzeczywistniony rewolucyjny sojusz robotników i chłopów, między innymi wskutek błędów luksemburgizmu.

Nie znajdziemy natomiast u Żeromskiego obrazu rozwarstwienia chłopstwa i jego wewnętrznych konfliktów. Raz tylko jeden w całej twórczości pisarza pojawił się kulak, kilku skąpych choć wyrazistymi kreskami zarysowany w „Szyfowych pracach”.

Jakie były przyczyny tak znamienego zwichnięcia tematycznego? Żeromski nie należał do pisarzy, którzy — jak Prus czy Reymont — prowadzili „studia terenowe”, organizowali i przygotowywali materiał twórcy do swych dzieł. Na temat chłopstwa, z niezwykłą chłonnością zużytkowywał jako materiał twórczy to, co przynosiło mu jego żywiołowo kształtujące się doświadczenie życiowe. W tym doświadczeniu od najmłodszych lat bogato nawarstwiał się obraz skrajnej, rozpaczliwej nędzy chłopskiej.

W tych młodzieńczych obserwacjach Żeromskiego wyszła kulacki musiał być słabo reprezentowany. Gubernia kielecka zajmowała pierwsze miejsce w Królestwie pod względem procentu

gospodarstw karłowatych i małorolnych. Zresztą obserwatorowi patrzącemu na wieś z zewnątrz, z obszarniczego dworu łatwiej było dostrzec trwającą pomiędzy nimi napętnę, niż bardziej ukryte wewnętrzne sprzeczności chłopstwa. Jakoż młody Żeromski w czasie odwieczu na krewnych i na korepetytorskich „kondycjach” zbierał obfite wiadomości o kapitalistycznym wyzysku i feudalnym poniżeniu chłopstwa. Ale były i dodatkowe przyczyny, które wystrząsały krytycyzm Żeromskiego w stosunku do obszarńszczyźnianego. Wychowany na literaturze pierwszej połowy XIX wieku, wyrażającej ideologię ruchów narodowo-wywoleńczych i demokratycznych, młody Żeromski z odrazą i wrogością obserwował w środowisku zamożnej szlachty — kosmopolitizm i oportunizm wobec zabory, egoizm klasowy, ciasnotę zainteresowań, moralne znikczemnienie. „Rozbitek dworu szlachckiego”, wyzyskiwany i upokarzany jako korepetytor, miał również osobiste rachunki krzywd doświadczonej od swych pracodawców, łatwo mu było odczuć dół innych wyzyskiwanych i zsolidaryzować się z nimi.

Wreszcie konflikt dwór — wieś przyciąga uwagę przyszłego pisarza także i dlatego, że w nim dostrzegł klucz do sprawy upadku ojczyzny i wyzwolenia narodowego. Żeromski od wczesnej młodości szukał dróg wyzwolenia narodowego i społecznego. Hasło zbratania szlachty i chłopów, które czerpie — z pism Jeż, konkretyzuje się w warunkach powłaszczonych jako pozytywistyczny program oświatowej „pracy u podstaw”, ale z wyraźną perspektywą ruchu powstaniowego. Jeszcze prowadząc w czasie pobytu w Warszawie akcję wśród rzemieślników, Żeromski pragnie żywić solidarystyczne nadzieje, w oświacie widzi jeszcze dźwignię odrodzenia narodowego również po wyjeździe na wieś, w czasie pobytu w Oleśnicy w latach 1888-9. Ale coraz lepiej rozumie utopijność swych marzeń o współpracy szlachty i chłopów, o opiece dworu nad chatą. Sam uczy dzieci chłopskie, myśli o założeniu w Oleśnicy czytelnicy ludowej, ale coraz wyraźniej dostrzega, że nawet w tej działalności nie znajduje zrozumienia w zaoferowanym i egoistycznym obszarńszczyźnianym.

Doświadczenia te każą mu zrewidować swe stanowisko, wyrzec się solidarystycznych utopii i nadziei związanych z misją społeczną szlachty:

„(...) Jeżu, Jeżu, stary nasz ojciec, do czegośmy dożyli. Skłamałeś — że „z szlachty polską polski lud”. Złudzenia twoje narodziła taka miłość ojczyzny jak nasza, dała nie wierzyć, że w kłamstwo, stawiania się szlach-

ty ludem” — i nas prowadził za sobą tak ci wierzących... A gdzieś doszli? Teraz albo stać się socjalistą, albo się rozpić. Nie ma dróg na tej ziemi innych”.

Jak widzimy — jedyny realny program społeczny, jaki ostaje się wobec tego kryzysu ideowego, to socjalizm. Ale Żeromski z różnych przyczyn, wśród których na pierwszy plan wysuwały się nieprzeżyte więzi z jego ze światem szlacheczkim i opory spowodowane niedocenianiem kwestii narodowej przez ówczesny ruch socjalistyczny — do socjalizmu nie doszedł.

Żeromski od wczesnej młodości próbował sił w literaturze. Imię pisarskie miał jednak zdobyć dopiero wówczas, gdy zarzucał wieszaczone, dramatyczne i liryczne utwory inspirowane przede wszystkim przez lekturę, a przeszedł do utworów opartych o obserwację rzeczywistości wsi.

Tematem chłopiejskim Żeromski debiutuje jako prozaik — mowa tu o utworze: „Ach gdybym dożył tej pociechy”, drukowanym w „Tygodniku powszechnym” Wiktora Gomułki (1889, nr 2 z 12 października). Obrazek gromadki chłopiejskiej w słuchanej w czytelniku „Pana Tadeu-

rały czytelnikom „prawo do pochopnych ugodnień i taniego optymizmu”.

W ślad za tym obrazkiem ukazują się w „Tygodniku Powszechnym” (1889, nr 5 z 2 listopada) „Elegia”. Jej ideowa koncepcja, to skonstruowanie niepozornej popoliści wiejskiego kalfkancisty a zarazem pastusza, „Tomka czy Szymka”, jak pisze Żeromski — z wielką namyślną siłą jego uczucia, a zarazem siłą artystycznej jego natchnionego śpiewu. Ta koncepcja wlaowała się w rozpowszechnione w literaturze lat osiemdziesiątych zjawisko awansu moralnego i intelektualnego ludowych bohaterów — zjawisko ideowo bardzo spłatane, bo mieszające w sobie obok demokratycznego szacunku dla prawdziwych wartości humanizmu ludowego, dla twórczych ugodnień mas ludowych — również reakcyjne próby idealizacji chłopiejskiego zaoferania i upośledzenia. Wbrew poczynionym sugestiom nie dostrzegamy tych niebezpieczeństw w „Elegii”, która była pierwszą próbą realizowania zadań pisarskich zakreślonych w dzienniku:

29.4.1889. „Obrzydła mi już zgłębiona filisteria „kafki wyższych”. Zwracam się tam, gdzie jest niezgłębiona rozmałość, wiecznie zmieniająca formę życia, niezbadana jak przyroda świat



Powrót z kopania ziemniaków

Mal. Kozakiewicz

za” nasycony jest wzruszeniem, które nieraz odezwie się jeszcze w piśmie Żeromskiego, które pisarzowi nigdy nie dobiegnie. Wzruszenie to budzić będą u Żeromskiego zawsze fakty świadczące o upowszechnieniu oświaty, o przyswojeniu sobie przez lud dzieł kultury narodowej. Podtytuł utworu i powtarzająca go refleksja zdziwienia: „Istna idylla... — pomyślałem — chłopcy przy książce” — sygnalizowały nieodczynną, wyjątkowo opisywanej sytuacji, odbie-

— do ludu. Jako człowiek, i jako artysta znajduje tu wszystko, czego szukał: fakty chwytające za serce, piękno i ciekawość zaspokojenie”.

Źródło ideowo-artystycznych „Elegii” szukać należy w opowiadaniu „Śpiewacy” z cyklu „Zapiski myśliwego” Iwana Turgieniewa — pisarza, którego czytał wówczas Żeromski ze szczególnym entuzjazmem. Zbieżność sięgają aż do ukształtowania stylizowanego.

Może również u Turgieniewa, w o-

powiedaniu „Żywa relikwia” dopatrywać się należy inspiracji dla utworu „Cokolwiek się zdarzy, niech uderza we mnie” (pierwotny „Głos”, 1891). Kiedy jednak Turgieniew ukazuje czytelnikowi duchowe piękno, wrażliwość i bogactwo przeżyć sparalizowanej dziewczyny wiejskiej, której jedynym życzeniem jest poprawa losu pańszczyźnianych chłopów — to Żeromski wyraźnie idealizuje religijną rezygnację i pokorę swego bohatera, cierpliwą jego zgodę na własny los, wszechogarniającą żywiołowość, na jaką zdobywa się umierający w szpitalu parobek folwarczny.

Apoteozą rezygnacji i pokory jako najwyższych miar duchowej wiejskiej proletariatu była niewątpliwie pomyłka ideowa młodego pisarza. Utwór poczęty z głębokiego wzruszenia nad cierpieniem ludzkim, wchodził w zasięg ideologii służącej ujarzmieniu duchowemu mas ludowych.

Już jednak w opowiadaniu „Pisze prawo” (znany z przedruków pod nazwą „Pod pierzyną”), które „Głos” zamieścił w kilka miesięcy po debiucie Żeromskiego (7.XII.1889) uwiidoczniły się rezultaty przeobrażenia w Oleśnicy kryzysu ideowego. Opowiadanie podkreśla nieprzebytą przepaść dzielącą sferę elegancji młodzieży od ludu, żywotność feudalnego przedziału stanowego i feudalnego poniżenia chłopów. Trzeba śmiertelnego niebezpieczeństwa, z którego wyratować może tylko siła chłopskich rąk, by u paniecy pojawiło się na chwilę poczucie ludzkiej równości z „chłami”.

Przeciwieństwo między trudnym, ubogim życiem ludu a bezroską rozrywką paniecy, między dobrocią i poświęceniem chłopca a szlachacką pychą i społecznym przesądem — o to w czym zawierała się wymowa ideowa utworu.

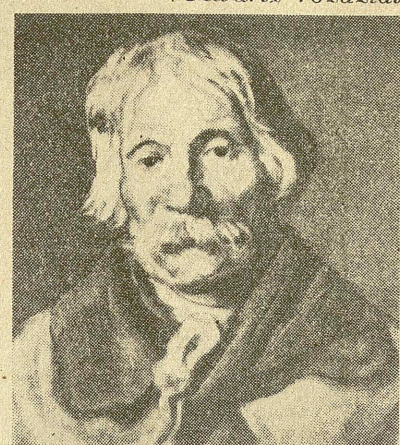
Dlatego też w „Psim prawie” należy widzieć przygotowanie ideowej artystycznej do dwóch opowiadań chłopskich, którymi Żeromski zapoczątkował nowy etap rozwoju polskiego realizmu krytycznego. Mowa tu o „Zapomnieniu” i „Zmierchu”. „Zapomnienie” napisane zostało bezpośrednio po „Psim prawie”, w czerwcu 1889 r. i miało najprawdopodobniej stanowić dalsze ogniwem rozpoczętego cyklu „Zapomnienia”, wydrukowane jednak zostało dopiero w „Głosie” w roku 1891. „Zmierchu” powstał później, między 1890 a 1892 r. Dlatego utwór ten przynajmniej tak wysoka rangę, na czym polega ich ideowo-artystyczne nowatorstwo w stosunku do realizmu krytycznego pozytywistów? Najbardziej powierzchowna analiza wykryje w nich od razu niespójność przedmiotową, w ówczesnym mniemaniu „antystetyczność” — realistycznego szczegółu — widoczną w portrecie

STEFAN KIENIEWICZ

WALKA KLASOWA NA WSI W POCZĄTKACH XX WIEKU

JAKIEŻ problemy stawały przed wsią na tym etapie gospodarczego, społecznego i kulturalnego rozwoju? Po części jeszcze były to problemy dawne — stosunku do dworu. Żył nimi w pierwszej linii biedota, zmuszona nie do zarabiania czy też dorabiania na folwarku. Tu po dawnemu panował system wyzysku. Latem dzień pracy trwał od 4—5 rano do 8—9 wieczór; zimą „od ciemka do ciemka”. Komornik wielkopolski za kąt w czworaku; za skąpy deputat i utrzymanie krowy musiał wychodzić do dworu wraz z całą rodziną niekiedy i z donajętą „posylką”. Dwór nie dawał mu przy tym gwarancji zatrudnienia i calocennego zarobku rodziny robotniczej sprowadzał się nieraz do 200—300 marek. Place robotników szła folwarku wstawały w związku z chłodzeniem „na Saksy”, ale zbijane były z kolei przez sezonowców zza kordonu. Ogólna zwykła plac w Niemczech jeszcze prymitywniej była czeladź folwarcza w Galicji. „Mieszkanie w czworakach, pisze Bujak, złożone są dotąd z reguły z jednej, brudnej i pozbawionej podłogi izby, w której w zimie drób i prosięta się mieszczą. Służba bezzenna sypia po folwarkach i u chłopów, z reguły w stajniach na wyrach lub na strychach nad stajniami”. Również i tutaj paręwo tolerowało wobec czeladzi kark kija.

Wyzysk uprawiany na folwarku wobec pracowników nie zatrzymał jednak o interesy zamożnego chłopca. Przeciwnie, niskie place folwarczne ułatwiały bogaczom większą eksploatację własnych robotników. Sąsiadki zatarci między dziedziem a kmieciem rozwinęły się w innej płaszczyźnie, głównie dookoła sprawy serwitutów. Trzeba jednak pamiętać, że w Królestwie na progu stulecia wykup serwitutów w dwóch trzecich był już załatwiony i że w przecieciu przysporzył on chłopom po 2,4 ha na gospodarstwo — była to



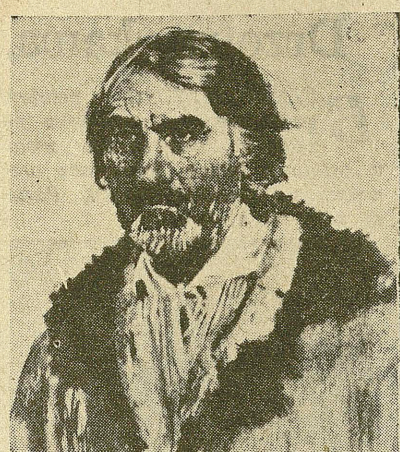
Mal. Piotr Michałowski

więcej transakcja korzystna. W Poznańskim bogaci chłopcy nie mieli żadnych praw do lasów, ale dobrobyt ich wzrastał i tak nieprzerwanie grunta folwarczne w drodze parcelacji przechodziły z rąk w ręce.

Istniał natomiast konkretny antagonizm między obszarnikami a posiadającym chłopstwem w Galicji. Tu bowiem obszarnicy mieli w ręku władzę polityczną i sprawowali ją na własną korzyść. W radzie powiatowej, w sejmie, w Kole Polskim była większość szlachecka; żandarm, starosta, namiestnik byli na usługach szlachty. Odczuwał to chłop przy rozkładzie podatku i w przy rozdziale subwencji rządowej; przy egzekwowaniu szarwarków i składki szkolnej; przy awansowaniu na urzędy synów chłopskich. W teorii polowa miejsce w sejmie należała się chłopom; w praktyce szlachta uznawała za niedopuszczalny jakikolwiek udział chłopów w życiu publicznym. Przeciwnie temu właśnie upośledzeniu wzrastał coraz potężniejszy opór uświadomiałego się chłopstwa; na tym tle wyrósł polityczny ruch ludowy, który podjął walkę pod hasłem: chłopcy obierajcie chłopów.

W tym ciężkim zmaganiu się z obzem feudalistów ruch ludowy pełnił w Galicji bez kwestii rolę postępową, jakkolwiek nie wykraczał poza ramy kapitalistycznego systemu. Ludowcom bowiem szło o udział w istniejącej władzy, o większy wpływ na istniejące rządy — nie zaś o gruntowną reformę ustroju. PSL domagało się bezpośrednich i tajnych wyborów, bo miało dość systematu „kibasy wyborczej”. Ale nie miało przeciw ordynacji kuralnej, która biedotę wiejską w ogóle pozbawiała głosu. Postulował ludowi, stawiając w Sejmie poprawki do ustawy łowieckiej, szkolnej czy drogowej, odgrywał się najstaranniej „od Marxa i Lassalle’a”. Program „prze-

(Czwarty rozdział referatu p. t. „Wies polska na początku XX wieku”)



Mal. Teodor Axentowicz

zez ruch ludowy nie zdobędą się na zmianę frontu wobec chłopca. Ale właśnie fakt zagrożenia dotychczasowych władców kraju zmuszał bardziej inteligentnych stańczyków do szukania kompromisu z wczorajszym przeciwnikiem. Już w roku 1896 „klub neokonserwatywny” w Krakowie wysuwa program podniesienia chłopca: przez kredyty na komasację, przez ograniczenie działów rodzinnych, przez wojsko resztowe na wzór pruski. Autorowie tych planów: Jaworski, Krzyżanowski, Hupka, staną się wkrótce głównymi rzecznikami sojuszu ze Stapińskim — przeciwi Daszyńskiemu.

Gdy wieś uboga znosiła eksploatację ze strony obszarników, a wieś zamożna pakowała z tymi obszarnikami, jasnym było zjawiskiem rozchodzenie się interesów pomiędzy dwoma odłamami wsi. Istotnie, wyrastał tu nowy klasowy konflikt, którego znaczenie miało rosnąć z każdym dziesięcioleciem.

Geneza tych spraw, słabo zbadana, jest trudna do uchwycenia, mało co mówi o niej nawet publicystyka postępowca. Półki istniały poddaństwo, linia podziału między warstwami rośnącymi i bezrolnymi pozostawała płynna, a ziemia obciążona pańszczyzną nie dawała użytkownikowi przewagi. Dopiero po uwłaszczeniu klan gospodarczy wyodrębnił się na stałe od biedoty i zaczął skutecznie wpływać na losy wsi. Po pierwsze: część bezrolnych pracowała u gospodarzy jako czeladź lub robotnicy ziemni. Jak była liczna ta grupa najmlodszy, nie wiemy. Arabi dorachowali w w Królestwie niepełna 8 tysięcy rodzin chłopiejskiej czeladzi, co by dawało raptem 1,3 proc. ogółu bezrolnych. Ale skądinąd wiemy, że chłopcy nie zatrudniali tak jak dwory całych rodzin, którym musieliby wydawać ordynarie, tylko bezrolnych

parobków i dziewczki, utrzymywanych na stole. W Galicji 63,5 proc. nielicznej składinad grunów bezrolnych pracowało właśnie u włościan. Zdaniem Bujaka ta służba włościańska płatna była na ogół lepiej od folwarcznej. Z Poznańskiego natomiast źródła pamiętnikarskie dostarczają dość materiału do bezwzględnie wyższego stosowanego wobec służby najemnej.

Dalszą domeną wyzysku uprawianego przez bogatych chłopów było wynajmowanie sn rężaja. W Galicji 82 proc. gospodarstw niżej 2 ha; w Królestwie 84 proc. gospodarstw niżej 1,5 ha, a 30 proc. w granicach 1,5 — 7,5 ha nie posiadało koni. Co to znaczyło, stwierdzał burżuazyjny ekonomista, Stanisławski: „Gospodarz bez konia nie ma nawozu, w czasie robót polnych musi wynajmować sprzężaj i zaprzędać się z tej przyczyny bogatszym, wreszcie musi uprawiać rolę wtedy, kiedy bogatsi uprawę swoją skończą, tj. już po czasie”. Z tym wiązało się dalsze zagadnienie: lichwy uprawianej przez bogaczy wiejskich w stosunku do biedoty. Dwory w początku XX wieku zaprzęstały na ogół rozpożyczania na wsi drobnych sum na odrodek. Szeroko za to podjęli tę praktykę więksi gospodarze.

Z kolei wchodził w grę problem rządów bogaczy w gminie. We wszystkich trzech dzielnicach ordynacje wyborcze odsuwały bezrolnych, niekiedy też małorolnych, od udziału w samorządzie. W Galicji biedota wiejska dopiero w 1907 roku zdobyła prawo głosu, i to tylko do parlamentu, nie do sejmiku. To znaczy, że do roku 1907 z potrzebami tej grupy włościan mógł nie liczyć się żaden polityk. W Poznańskim do sejmiku pruskiego głosował ogół mieszkańców, lecz głosy proletariatu, wpisanych do tzw. trzeciego kręła wyborczego, nie miały większego wpływu na wynik wyborów. W tych warunkach urzędy wójtów, sołtysów, ławników stawały się apażem małych, bogackich klik. A te kliki z kolei miały wykorzystywać swą władzę — samolśną i poręczoną — w zakresie spraw podatkowych i porządkowych przy ew. podziale pastwiska gminnego, przy każdej sposobności korzystniejszego zarobku. W miarę kurczenia się parcelowanych folwarków musiałby potężnie antagonizmy klasowe wewnątrz wsi. W Piotrkowskim i Radomskim, na Podlasiu, w Galicji zachodniej trafiały się już na progu stulecia powiaty, w których dworów zostało niewiele. Tu bogacz wiejski, spadkobierca dziedzica, wchodził w jego rolę i brał też na swe barki rosnący ciężar ludowej nienawiści.

Aż do początku XX wieku nienawiść ta nie znajdowała zewnętrznego wyrazu. Jeśli ogół chłopstwa był zapóźniony w stosunku do innych klas pod względem oświaty i wyrobienia politycznego, to biedota wiejska była zapóźniona podwójnie. Bogacza, nawet średniaka stać było na prenumeratę gazet, na kształcenie dzieci, nawet na przeciwstawienie się władzy. Proletariusz i półproletariusz czuł się znacznie bardziej bezbronny, miał trudniejszy awans społeczny, luźniejszy kontakt z oświatą, nawet w Wielkopolsce. Nietawo było biedocie wiejskiej występować przeciw bogaczom, wówczas gdy jeszcze toczyła się walka ogółu chłopstwa z obzem obszarniczym. W imię tej walki przywódcy PSL operowali w Galicji hasłem solidarności całej wsi. W Królestwie znowu znaczna liczebność i siła gatunkowa średniego chłopstwa łagodziła i opóźniała narastanie konfliktów między elementami skrajnymi. Potrzeba było nowych, gospodarczych i politycznych przełomów, które wprowadziłyby na widownię biednego chłopca, już w samodzielnej roli, m. in. w roku 1905.

Wzrost aktywności i samowiedzy chłopiejskiej, przy równoczesnym kruczeniu się obszarnictwa wzmacniał rolę odgrywaną przez ludność wsi w życiu całego narodu. Postępowcy poprzednich pokoleń marzyli o dniu, w którym wyzwolony i oświecony chłop umie w ręce swe losy kraju. Zdawało się, że dzień ten już nadchodzi. Jakże były już odległe czasy, gdy lud nie-uświadomiony należał przez rewolucjonistów do ucho podstępem zabieranych. Teraz ten lud w coraz większym mierze stawał sam do walki z obcymi rękami. Dojrzywała wieś od czuwała coraz poważniej przyszłość stawiane jej życia przez obcy ucisk, przez rozczłonkowanie kraju, przez coraz mniej lub więcej otwarty między obcymi rękami a polską klasą postępującą. Wzrastała na wsi poczucie polskości. Najjawniej działało się to w zabrze pruskim, gdzie rosnący napór Hakaty groził narodowi śmiertelnym niebezpieczeństwem. Tutaj sukcesy odnoszone przez żywioł polski w walce o ziemię były głównie zasługą chłopca. W Królestwie w 1904 r. większość gmin wiejskich zażądała polskich szkół i polskiego języka urzędowego. A i w Galicji nie było przypadkiem, że postulaty „wyodrębnienia” kraju i rozszerzenia autonomii znalazł silniejsze poparcie w Stronnictwie Ludowym, niż w ugrupowaniach mieszczańskich. I nie to, że patriotyzm krzewił się w chłopiejskich sercach był eksplloatowany przez endecję, że w roku niesumiennych agitatorów przerażał ni-ke-ty w szowinizm antyniemiecki, lub antyukraiński. W szerszej perspektywie ważne jest dla nas to, że w ogniu walki toczonych z dawnym wyzyskiem feudalnym, z nowym wyzyskiem kapitalistycznym chłop dorastał zarazem do pojmania spraw ogólnonarodowych. Ze sposobu się już do objęcia — w jednym szeregu z klasą robotniczą — stanowiska gospodarza kraju.

(Następnie i ostatni rozdział referatu omawia udział biedoty chłopiejskiej w ruchu rewolucyjnym 1905 r.)

Stefan Kieniewicz

STEFANA ŻEROMSKIEGO



Stefan Żeromski

Obali, w opisie „Bicia w mordę”, w opowiadaniu o pracy Gibałów przy wywożeniu toru. Drogę wskazał tu Żeromskiemu naturalnie, ale podczas gdy oni nie zawsze umieli uzasadnić jaskrawość, prowokacyjność opisu, jego ideową funkcję — ten wypadek u Żeromskiego na pewno nie zachodzi: „Przejmujący, okrutny, wstrętny, o- brzydliwy płacz” bitygo Obali, jego „nogi porosłe gnojem, czarne z wykrzywionymi palcami, z paznokciami jak u zwierzęcia, z piętnami splaszczonymi i wpełnionymi w tył”, ucisk ta- śmy, która „wryza się w kark i ramiona, wyciskając na kossu ciemną pręgę cuchnącego potu” — z takich właśnie szczegółów powstaje obraz nie ludzkiej nędzy chłopca i jego kator- niczego trudu, obraz, który apeluje do fizycznej wrażliwości i wymusza wprost u każdego czytelnika współ- czucie dla cierpiących, protest przeciw ich krzywdzie. Ale w wywołaniu tej elementarnej ludzkiej solidarności z krzywdzonymi pisarz nie poprzestaje. To tylko szczebel, tylko środek emocjonalnego zaangażowania czytelnika w odkrywany konflikt społeczny.

I tu natrafiamy na drugą najistotniejszą nowatorską cechę tych nowel. Słusznie zauważono, że Żeromski rozpoczyna „Zmierzchu” w momencie, w którym wczesny pozytywista zakończył swe opowiadanie — w momencie, gdy zdewastowany folwark zmienia się w dochodowe przedsiębiorstwo kapitalistyczne.

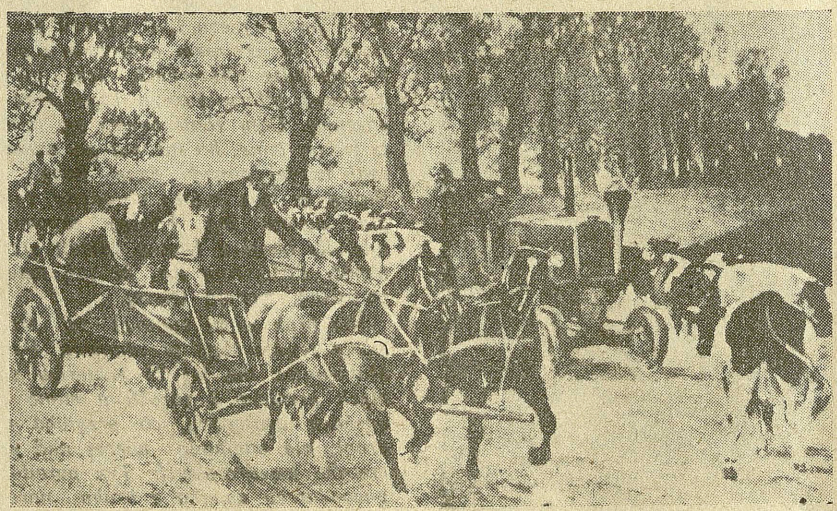
Późniejsza twórczość pozytywistów zerwała z tą optymistyczną apoteozą kapitalistycznego postępu technicznego w rolnictwie. W drugiej swej fazie nie przechodziła ona obojętnie obok niedoli chłopiejskiej. Ale z reguły jako przy- czynę jej wskazywała nie strukturę ekonomiczną — społeczną, kraju, lecz dodatkowe czynniki, pogłębiające tę niedolę, lub zbieg wydarzeń wynikających z indywidualnych cech ludzkich.

Oskarżenie ustroju, oskarżenie „pruskiej drogi” kapitalizmu w stosunkach wiejskich dokonywa się w powieści pozytywistycznej najczęściej w sposób pośredni. Wyjątek stanowi tu powieść Konopnickiej — i nie bez przyczyny Żeromski tak często cytował jej słowa wiersza: „Posępna rzecz jest ta siwa siermięga”. Od takich wierszy Konopnickiej jak „Wolny najmista”, „Z szopką”, „Wsiadłem ci ja w czarną rolę” najprostsza droga ideowa prowadzi do chłopiejskich nowel Żeromskie- go.

Ala Konopnicka — powtórzmy — to zjawisko wyjątkowe w poprzedzającej Żeromskiego literaturze, która oskarża ustroj, oskarża „pruską drogę” kapitalizmu w stosunkach wiejskich tylko w sposób pośredni. Inaczej — w „Zapomnieniu” i „Zmierzchu”. Niedola Obali, to niedola nędzarska, którego całym mieniem są „dwie morgowiny piaszczynowe”. Niedola Gibałów, to niedola komornika, którego półfeudalna zależność od dworu i nieczym nie ograniczony wyzysk skazuje na ka-

cy, bo nie o sprawę chłopską w nim przecież idzie. Ale przypomnienie powyższe wydaje się konieczne: postawa bowiem doktora Piotra to właśnie komentarz ideowy do „Zmierzchu”, komentarz rzucający zarazem światło na podskórne źródła krytyki społecznej Żeromskiego — proletariacką krytykę ustroju kapitalistycznego.

Oskarżenie pisarza wywołane jest więc bezpośrednio przeciw ustrojowi ekonomicznemu, który zachował obszarnicze latyfundia, podczas gdy miliony chłopów wegetować musieli na swych karłowatych gospodarstwach, bezpośrednio przeciw ustrojowi ekonomicznemu, który umożliwiał obszarnikowi nieskrępowaną eksploatację chłopiejskiej siły roboczej — konkretnie: przeciw kapitalizmowi pruskiemu z charakterystyczną dlań dominacją obszarnictwa i licznymi pozostałościami feudalizmu. Pozostałości te oczywiście przetrwały również w sferze naddubow — Żeromski z oburzeniem piętnuje to poniżenie i niepełnoprawność chłopca, która pozwala dziedzicowi bezkar-



Powrót z pola.

Mal. Ludwik Maciej

torzniczą pracę ponad siły za naj- niedźniejsze wynagrodzenie.

Wyzysk taki został w „Zmierzchu” potępiony w sposób pośredni — poprzez współczucie, jakie budzi los bohaterów opowiadania. Później, w „Do- ktorze Piotrze” osadza go marksistowska analiza przeprowadzona przez bo- hatera, potępia go przede wszystkim jego decyzja, by — nawet za cenę zer- wania z ojcem — „spłacić ten dług gorzki i straszny”, jaki zaciągnął wobec robotników nieświadomie uczest- nicząc w ich wyzysku. Omówienie tego utworu — pozycji czytelnicy we- wczesnej twórczości Żeromskiego — nie wchodzi w zakres niniejszej pra-

nie zmasakrować kradnącego deski Obale, wymierzyć mu „sprawiedli- wość” feudalną, zanim sąj wymierzy mu sprawiedliwość burżuazyjną.

Wytłumaczenie, który czu- stwając swego gościa papierosem pocz- ra nowoczesnego Łalewicza jak należy „bić w mordę” i sam bierze w tym udział — to prowokacyjne wobec czy- tającej publiczności wyjawskawienie miało swój sens głębszy — polemizowa- ło z oportunizmem stosunkiem do obszarnictwa, jaki — zwłaszcza w sprawie chłopiejskiej — cechował po- wieści pozytywistyczne. Podobnie jak źródło niedoli chłopiejskiej poszukiwała ona nie w ustroju ekonomicznym, lecz

Henryk Markiewicz

Poznajcie naszych Czytelników

(Dokończenie ze str. 3-ej)

Płyną miesiące. I oto Maria może podsumować swą pracę. W przeciągu roku 1951 chłopcy z Kornat przeczyta- li 1451 tomów z biblioteki gromadzi- kiej, a 624 tomy pożyczili bezpośred- nio od niej. Na 50 chłup wiosk a- bonuje 105 egz gazet, a mimo to — jak Maria pisze — „co ciekawsi idą jeszcze do sąsiada, który ma inną ga- zetek”...

Zespół czytelniczy, przygotowujący się do konkursu pod kierownictwem Marii składał się z 13 osób: 3 dziew- cząt w wieku szkolnym, 2 traktorzy- stów, 3 małorolnych, 3 robotników rolnych z PGR-u i 2 średniaków. Wszyscy przystali ankiety na konkurs, każda z obowiązkowymi 5 tomami i wypowiedzią. Przejrzałem je; nie po- wtarza się ani jeden z tytułów ksią- żek. Maria mówi o swoim zespole: — „Do zespołu wybrałam ludzi najsłabszych w czytaniu, aby ich pod- ciągnąć i zachęcić do czytelnictwa, dlatego wypowiedzi są słabe, napisane własnoręcznie. Nie po to zgłasza- łem do konkursu, aby zdobyć od- znakę brązową lub srebrną, bo to nie wyrówna trudnej dwuletniej pracy i agitacji oświatowej — ale po to, żeby jak najwięcej ludzi uświadomić i zemiścić się na konającym kapitali- stycznym ustroju za to, że nie pozwo- lił mi się uczyć”.

Maria Walczak otrzymała srebrną odznakę przedłożoną czytelnicztwa a jej zespół pierwszą nagrodę w posta- ci 80-tomowej biblioteki. Ale najpiek- niejszą nagrodą dla Marii jest świa- domość, że z zafalanej wsi, gdzie książek i gazet prawie nie czytano, zrobiła dzięki swej agitacji jedną z produkujących w czytelnictwie grom- ad woj. poznańskiego.

UCZESTNICY ZJAZDU MÓWIĄ...

MŁODY, może 20-letni robotnik rolny z Ruchowa, powiat Ko- nin. Mówi prędko, trzymając rękoma mównicę, jakby się obawiał, że ją wywróci.

— „Przeczytane książki nauczyły mnie lepiej słyszeć Ojczyznę, sprawię wolności, sprawię utrzymania pokoju. Nauczyły mnie odróżniać dobre od złego. Zrozumiałem cel walki proletariatu i cel przekształcania naszej gospodarki rolniczo - przemysłowej w przemysłowo-rolniczą”.

Helena Baniecka z Rudy, powiat Jarocin: — „Dotychczas o pochodze- niu życia na ziemi wiedziałam tylko z religii. Po przeczytaniu książki Mi- chajłowa „O pochodzeniu życia na ziemi” oczy mi się otworzyły. Widzę jak nas oszukiwano, aby dłużej utrzymać w zafalaniu”.

Krzysztof Lech z Pniew, powiat Szamotyły: — „Poprawa bytu chłopca na wsi polega na zjednoczeniu rozo- proszonych gospodarstw chłopiejskich, pozbawionych możliwości posługiwania się traktorami i nowoczesnymi maszy- nami rolniczymi. Książki, które prze- czytałam uczą mnie i przekonująją o tym jak wielkie korzyści daje wieś produkcyjna”.

Walczakówna z gromady Kornaty, pow. Września: „Nie wiedziałam co zrobić z maciorą, która stała dusłą prosiętą. Pomogła mi książka p. t. „Wychów świń” Kiebanowskiego. Obecnie już wiem jak unikać na przyszłość takich wypadków i jak zwiększyć pogłowię trzody chlewniej. W przyszłym roku będę mogła za- kontraktować 12 świń”.

Zbiórka lektura fachowych ksią- żek rolniczych w spółdzielni produk- cyjnej Kromolice, pow. Krotoszyń spo- wodowała, że spółdzielcy postanowili zwiększyć hodowlę bydła, założyć pa- siek i wysławiać stawy, aby go później zarybić. Bez wątpienia, dzieki tym pomysłom wzrosło poważnie dochód spółdzielni, a tym samym dniówka obrachunkowa każdego z członków.

Na mównicę wchodził świułka sta- ruszka, wdowa Stefania Bartuła z gromady Ostrowo w pow. gostyń- skim. Długie oklaski. Lekko zniercz- pliwiona taką owacją kiwa ręką. Mó- wi o swej młodości, jak to była a- nalfabeta i „przez lata cale chodzi- ła jak ślepa”. Dziś czyta, nawet sym- nom nie pozwoli się wyprowadzić. A chłopaków ma na schwał, męcząca duma drży w jej głosie, gdy o nich wspomina. Bronisław jest kierowni- kiem PGR-u, Ludwik, przodownikiem pracy w cukrowni, Józef do niedaw- na produjący jednak brądygi SP u- czy się na tokarza w Chrzanowskiej Fabryce Lokomotyw. Antek jeszcze w szkole, ale „jak skończy pojdzie na technikę”... Czy jej wilgotnieja, gdy na zakończenie rzuca: — „Ja... jestem szczęśliwa...” — dalej słów jej brak- nie, są zresztą niepotrzebne, sala ro- zumie jej radość i — oklaskuje.

Ankiety, tysiące ankiety czytelni- czych leżą przede mną: Franciszek Plewiński, 53 lata, małorolny, Sławim pow. Ostrow Wlkp.; Alfons Wróblew- ski, 26 lat, małorolny, Słonawy pow. Oborniki; Helena Frackowiak, 20 lat, robotnica rolna, Kornat pow. Wrze- śnia; Stanisław Grześkowiak, 48 lat, kierownik świetlicy, Garki pow. Ostrow Wlkp.; średniak — Marian Skorupka z tej samej miejscowości, Nazwiska i nazwiska. Sprężającemu w tym bogatym materiale, kopalni tem- atów dla literata i dziennikarza, na- suwa się uwaga: Przekazać te wszyst- kie wypowiedzi do pracowni socjo- loga, zajmującego się przemianami naszej dzisiejszej wsi. Nie można pozwolić na zniesienie takich zbio- rów dokumentów, świadczących o do- brym przełomie dokonywanym i do- konującym się w psychice polskiego chłopca.

Ireneusz Gwidon Kamiński

JULIAN STAWIŃSKI

PAN BALCER...



Władysław Wójcik.

SZLAKIEM Pana Balcera, krzyżową drogą, której tragiczny opis dał Adolf Dygasiński, szli osadnicy polscy, z zapadłych wiosek do ziem obiecanych przez ocean — wyspionej „Brzozlii”. Przyjmowała ich rzeczywistość zmurszała i nieruchoma gospodarki pańszczyźnianej, złudzenia przyśkały, gdy już nie było odwrotu. Ameryka Łacińska chwiała ich w kleszcze półfeudalnego i półniewolniczego ustroju.

Emigracja polska kierowała się tam niemal bez reszty do Brazylii, ale stonki w tym kraju — największym z dwudziestu republik łacińskich — typowe są dla całego obszaru Środkowej i Południowej Ameryki. Od czasów zaś Pana Balcera jedno się tylko zmieniło: domena fazend i estancji, pampasów i selwy stała się surowcową zaplecem dla monopolu Kolosa Północy, imperializmu USA.

Cała zdтна do uprawy ziemia należy w Ameryce Łacińskiej do 10 proc. ludności. A z rolnictwa utrzymuje się 70 proc. To też większość chłopów jest bezrolna. W Brazylii są posiadłości równe obszarom całej Anglii, w Argentynie do jednej rodziny należy pół miliona hektarów, w niewielkim stosunkowo Paragwaju 176 majątków mierzy ponad 50.000 ha każdy. Największym właścicielem ziemskim jest księć. Na drugim miejscu stoją wielkie koncerny Stanów Zjednoczonych: United Fruit Co posiada niemniej jak 1.600.000 ha, dorównuje jej France Co, inne zaś, jak Forrester Co z 1.200.000 ha tylko nieznacznie im ustępują. Koncentracji dóbr towarzyszy niski poziom uprawy. Przeważającym narzędziem jest motyka — w Brazylii jeden plug przypada na 214 gospodarstw. Wielki właściciel ziemski mógł posługiwać się niepomiernie tanim siłą roboczą, jakiej ma pod dostatkiem, niż inwestować pieniądze w zakup najprostszyc choćby maszyn rolniczych. Stąd prymitywna jest zarówno gospodarka uboższego chłopca, którego nie stać na drogie narzędzia, jak i obszarnika, który ich kupić nie chce. Wynikiem takiego stanu rzeczy jest katastrofalny stosunek powierzchni ziemi zdтnej pod uprawę do uprawy faktycznej. W Wenezueli wynosi on ok. 1 proc., w Brazylii niewiele ponad 1,5 proc. Konserwatywny ekonomiczny ziemiaństwo w Ameryce Łacińskiej spręża się z reakcjonizmem społecznym i kulturalnym i utrzymuje cały kontynent w warunkach, które niewielkim uległy zmianom od XVI-go stulecia.

W tym stanie rzeczy, gdy kapitalizm USA skierował wzrok na południe, miał ułatwione zadanie. Po I-iej wojnie światowej ruszyła dolarowa lawina. W roku 1913 inwestycje USA nie przekraczały 173 milionów, obecnie wynoszą ponad 6 miliardów. Ale nie były to inwestycje twórcze, dobroczynne. Nie sprzyjały rozwojowi gospodarczemu. Lawina urastała w olbrzymią tamę zaradczaj: drogę postępu i przemysłowienia. Stany Zjednoczone wykupowały złoża kopalniane — nafta, aluminium, ołów, cynk, nikiel, miedź i inne bogactwa mineralne przeszły niemal całkowicie w ręce monopolu USA. Rozbudowano koleje — dla wywozu surowców na północ. Inwestycje nie kierują się bowiem do przemysłu, surowce nie są przetwarzane na miejscu. W stanie przerobionym i sprowadzają je republiki łacińskie z USA. Przemysł ciężki prawie nie istnieje, cała produkcja stała wynosi półtora miliona ton. Rozwinęła się jedynie produkcja konserw mięsnych i tanich tekstyliów: wywóz żywności, czy mięsa mrożonego jest nieopłacalny, a uboga ludność nie stać na kupowanie importowanych towarów włókienniczych.

Pozostałości epoki kolonialnej był system monopoli — uprawy jednego gatunku zbóż, czy roślin przemysłowych. Stany Zjednoczone, traktując całą Amerykę Łacińską jako swoją kolonię, system ten utrwalają. W rezultacie w Argentynie koncentruje się pszenica i hodowla bydła, na Kubie — cukier, w Brazylii — bawełna i kawa, która stanowi 45 proc. całego eksportu tego kraju. Powstaje w ten sposób całkowita zależność od rynku zagranicznego — na rynku USA — na który republiki łacińskie nie mają żadnego wpływu. Odwrótnie, same są od niego zależne — eksportują tanio, płacą drogo za import. Z drugiej strony tworzą się sztuczne niedobory: Kuba np., kraj bogaty i żywny, nie może się wyżyć i sprowadza mąkę, ryż, mięso i konserwy z USA.

Dosć często społeczeństwo można ze zdaniem, że chłop czy robotnik południowo — amerykański jest bierny, apatyczny i leniwy. Przypisuje się to działaniu klimatu, a nawet rozmaicie poj-

mowanych czynników wrodzonych. Nie fałszywego nad takie fatalistyczne ujmowanie sprawy. „Nie umiemy nic zrobić dobrze — pisze znany socjolog brazylijski Alfranio Poixota — gdyż ludność nasza żyje w stanie chronicznego niedożywienia”. Wieśniak brazylijski zjada czwartą część żywności spożywanej przez jego odpowiednika w Europie — stwierdzają znani badacze Soule, Efron i Ness — a przecież na spóżyła na Kubie wynosi 915 kalorii, czyli znacznie poniżej tego, co tabela Ligi Narodów uznaje za „stan rozpaczyliwego niedożywienia”. III Międzynarodowa Konferencja Żywnościowa obradująca w Buenos Aires stwierdziła, że sytuacja taka „dotyka wszystkich bez wyjątku kraje Ameryki Łacińskiej; dla znacznej części świata amerykańskiego niedostępne jest minimum żywności niezbędne do zachowania życia i utrzymania normalnej wydajności pracy ludzkiej”.

Ameryka Łacińska liczy 70 milionów analfabetów i 50 milionów półanalfabetów, co łącznie daje 80 proc. ogółu mieszkańców. Przeciętna wiek wynosi 32 lata, 61 proc. ludności umiera bez pomocy lekarskiej. Nie może sobie na nią pozwolić, a poza tym brak jest lekarzy: w Paragwaju na półtora miliona ludności jest ich 109, z czego 93 mieszka w stolicy kraju. W tych warunkach trudno o jakąkolwiek miarodajną statystykę chorobową. Wiadomo tylko, że epidemie są zjawiskiem chronicznym. W samej Brazylii umiera rokrocznie 80.000 ludzi na malarię, choć wystarczający jednorazowy wydatek 10 centów na głowę, aby drogą akcji państwowej wyteńczyć malarię raz na zawsze. Równocześnie są wielkie koncerny Metarozzo — człowieka uchodzącego za największego potentata w Brazylii, a nawet całej Ameryce Południowej — wykazuje stałe wydajność w wysokości 90 proc. od kapitału na rok. I w tym tkwi tajemnica, dla której 90 proc. zdтnej do uprawy ziemi leży odłogiem, dla której żelazny sojusz obszarników, kleru i trustów zagranych sprzeciwia się przemysłowieniu Ameryki Łacińskiej. Nedza i ciemnota jako środek trzymania ludności w karchach, rabunkowo użytkowanej bogactw naturalnych, przedpotopowe metody produkcji, nikłość inwestycji, słowem — wszystkie cechy gospodarki kolonialnej.

Ludność wiejska stanowi dwie trzecie, a z nich olbrzymia większość pozabawiona jest własności ziemi: proletariatu rolnego o rzadkich latyfundiach, drobni dzierżawcy, pracujący za czynsz równy zwykłej połowie zbiorów, grzęznący w długach, których niewypłacalność czyniła niewolę faktyczną więzami niewoli w znaczeniu prawnym, jakiej zaznają peoni i kabokle. Chłop samodzielny, na własnym, zażywa w porównaniu z nimi relatywnego — tragicznego relatywnego — dobrobytu. Z zamieszczonych obok dwóch listów na nowego korespondenta, osadnika w Brazylii, możemy zobaczyć jak ów „dobrobyt” wygląda. Dają nam one również wejście — w zwykłym, ale wnikliwym przekroju — jak operuje system monopoli, widziany oczyma tych, na których barkach się wspiera.

Z kraju, gdzie wolność wegnano w podziemia, gdzie nałożono cenę na głowę bohatera, co tej wolności wcale nie jest, sztandarem i legendą — niełatwo pisać listy. Toteż nie dziwnym się, że Wójcik mówi tylko o trawieniu, trudnym aż do bólu, w opłotach reakcji, która jak chwytne liny dławi naród chcąc złamać w nim wolę oporu. Słowa „walka” nie ma w liście Wójcika, lecz przebiega głuchy pogłos, świadcząc, że się toczy.

Gdy na lat kilka przed wojną Wójcik osiadł w Brazylii, polski Pan Balcer i Pan Balcer włoski, hiszpański, portugalski, jednoczył się z metyssem, mulattem, kreolem, Murzynem i najniebezpieczliwszym ze wszystkich „gospodarzem” tej ziemi — Indianinem — i tworzył Front Narodowy, front walki o postępną i demokrację. Straż przednią tej armii, jej mózg i serce tworzyli komuniści, których wiodł legendarny „Rycerz Nadziei” — Luis Carlos Prestes. „Gwiazda wśród ciemnej nocy, huragan ludu, błyskawica, wichur obalający tyranów” — mówił o nim towarzyszy walk, wielki pisarz Jorge Amado. I we wszystkich dwudziestu republikach łacińskich działało się tak samo: powstawał zwarty front narodu i walczył.

Bói toczył się, gdy Prestes był senatorem państwa i wówczas, kiedy skazany na 46 lat więzienia stał za kratami, manifesty, od których chwiała się władza despotów. Bóje nie ustaje dziś, a każdy zamach namiestników, konwiktów własnego narodu, rozdział tylko tym głębszą jedność i stałość w walce. Pocucie solidarności przekracza granice państw, łączy chłopca z proletariatem. Chłopi demonstrują w obronie strajków zabrońnię przez dyktatorów, powstają wspólne organizacje robotniczo-chłopskie, związki farnali przystępują do Konfederacji Pracy Ameryki Łacińskiej, akcja w Gwatemali, czy Paragwaju otrzymuje poparcie kraków pozostałych. W Brazylii cały aparat polityczny nie zdołał — mimo nagrody milionowej — ująć wziętego spłodzonego Prestesa, którego chroni wola narodu.

Wśród ciemnej, tropikalnej nocy południowego ładu niezmiennie świeci gwiazda i wzbiera huragan ludu. Toczy się nieodwracalny proces, o którym Prestes powiedział, że „rozegra się znacznie prędzej, niż to się wielu bardzo ludziom wydaje”. Brazylię i dziełaństwa bratnich republik zalega milczenie — jak kiedy cisza zapowiada burzę.

Julian Stawiński

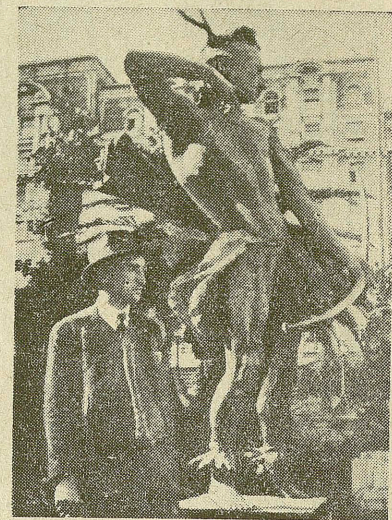
WŁADYSŁAW WÓJCİK

LISTY Z BRAZYLII

List pierwszy

Drzewa, kawa, a może... nafta?

BEZNADZIEJNOŚĆ położenia gospodarczego osadników polskich w dorzeczu Ivaí została w ostatnich latach wzmożona przez negatywny stosunek rządu Parany do całej tej okolicy.



W San Paulo. — Prawda jak pasujemy do siebie, ja i ten pomnik Guarany?

W r. 1948 staraniem konsulat polskiego w Kurytybie powstał w dorzeczu Ivaí okręgowy związek rolników, któremu rząd stanowy przyrzekł pomoc techniczną w celu przestawienia dotychczasowej gospodarki rabunkowej na tory racjonalnego i planowego rolnictwa. Przyrzeczenia owego atoli rząd parański ówczesny nie dotrzymał. Przed wyborami powszechnymi w r. 1950 synpły się znowu obietnice pod adresem dorzecza Ivaí w celu wyłudzenia głosów. Ludność zniechęcona do poprzedniego rządu zwróciła swe nadzieje ku opozycji, w której szeregach znajdowało się kilku kandydatów na deputowanych pochodzenia polskiego. Opozycja wybrała nowego gubernatora Parany, lecz w położeniu osadnictwa nic się nie zmieniło. Było to zresztą

nictwa, które naprzekór wszelkim spekulantom stanowił trwały fundament gospodarki parańskiej.

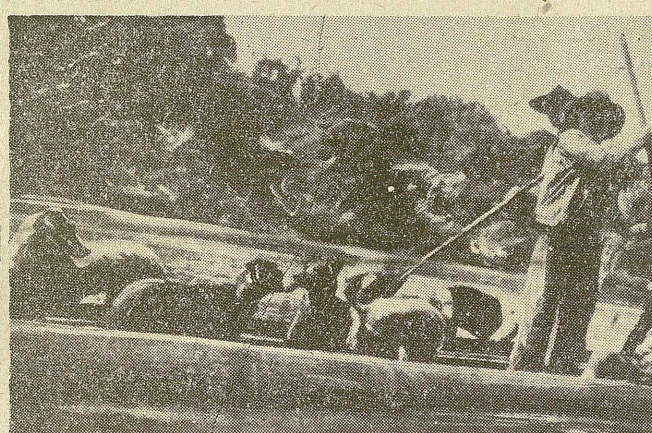
Parani przeżywała już kilka okresów chorobliwej manii nagłego bogacenia się jej sfer rządzących, z uszczerbkiem dla właściwego rolnictwa. Przed i zaraz po pierwszej wojnie światowej była tutaj w modzie „heroa - mate”. Całe polacie kraju pokryto gajami herwowymi, z których suszone liście kupowała reszta Ameryki Południowej na herbatę. W zamian za te liście Argentyna dostarczała pszenicy. Na herwie wyrosły fortuny parańskie i wszyscy kolejno po sobie panujący gubernatorzy tego stanu wywodzili się z arystokracji herwowej. Pierwsza Argentyna obsadziła jednak po pierwszej wojnie swoimi „herwalami” prowincję Misiones (gdzie także jest dużo Polaków) a w ślad za nią uczynił to samo Paragwaj — i herwa-mate przestała być dla Parany „zielonym złotem”. Zniknęło z powierzchni kraju wiele ośrodków handlu herwowego a nawet szereg miasteczek uległo wyłudnieniu.

Po tym przyszła kolej na drzewo parańskie. Pinory (podobne do sosny) przetarto na dyktę, pod pilami runęły setki tysięcy hektarów lasów piniorowych, fortuny wzrastały jak grzyby po letnim deszczu — z arystokracji drzewnej wyłoniły się nowe rządy w Paranie. Przedostatnim gubernatorem tego stanu był najbogatszy tarcioznik, Lupion. Obecnie wkraczaliśmy w okres kawowy. Gubernatorem stanu został potomek dawnych „herwarzy” ale już adwokat kartelu kawowego, Bento Munhoz da Rocha Neto, syn gubernatora Parany sprzed 1930 r. Zwywł gospodarzy tego stanu miała się raz w jedną, raz w drugą, to znowu w trzecią ostateczność i ciekawą jest rzecz co tutaj zajmie miejsce zdebronionej kiedyś kawy!

Na stokach gór Nadziei rozsiadła się beznadziejność, — nie ma tu ani



Podziwiamy z żoną swoje kartofle i fasole, poza nami budynki szkolny gdzie uczy moja córka Danusia.



Polowanie na tapiry na rzece Itany pod Apurkaraną.

do przewidzenia, gdyż jedyną zmianą zasadniczą, jaką mogło za sobą pociągnąć zwycięstwo opozycji w Paranie była z a m i a n a kartelu drzewnego na kawowy... Do 1950 r. rądzilo Parana drzewo, czyli t a r t a c z n i c y, od tej daty zaś alfa i omega orientacji gospodarczej jest tutaj k a w a. Cały wysiłek nowego rządu idzie po linii rozwinięcia plantacji kawy, mieszcących się wyłącznie w północnej części Parany, wzdłuż zwrótnika Kozioroża, z całkowitym pominięciem innych dziedzin gospodarczych i okolic nie nadających się do produkowania owego „czarnego złota”.

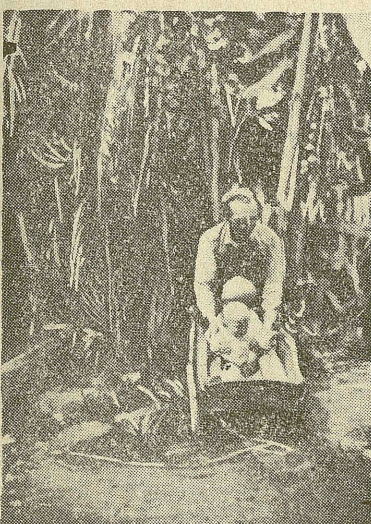
Porzuconemu w krytycznej sytuacji osadnictwu polskiemu z dorzecza Ivaí nie pozostało nic innego, jak wyemigrować na północ i brać się za kawę. Część już to uczyniła, lecz większość nie będzie mogła pojsć tym śladem, nie mając komu sprzedać wyjątkowych „ogniowych” systemem obszarów. Bo tereny kawowe poszły w cenę w niebywały sposób: — jeden hektar dzikiego boru w północnej Paranie kosztuje o tej porze tyle, ile z biedą można dostać za 10 ha w dorzeczu Ivaí. Przewóz rodziny i dobytku wynosi tyleż samo.

Obserwatorzy ekonomiczni już potrosze ostrzegają przed zbyt pochopnym angażowaniem się w kawie, przewidując rychły spadek nadmiernie wygórowanych cen tego produktu w dobie obecnej. Cenę te od czasu drugiej wojny światowej zachęciły kapitalistów z USA do zakładania nowych plantacji w Kolumbii oraz w krajkach Ameryki Środkowej. Ale pierwsza lepsza zmiana sytuacji międzynarodowej a co za tym idzie, koniunktury gospodarczej uzależnionej tutaj od USA, może zepchnąć kawę brazylijską na drugi plan.

Niektóre miejscowości dorzecza Ivaí mogłyby już z powodzeniem zabierać się do uprawy bawełny, inne znowu pszenicy gdyż obydwa te produkty są w tym kraju poszukiwane. Od Nowego Roku będziemy tutaj jedli chleb mieszany z mąką manjokową, z braku pszenicy Osadnictwo w tej okolicy Parany jednakże nie zdoła się ani na jedną, ani na drugą uprawę, bo nie stać go na kurno narzędzi rolniczych. Dopóki rząd parański nie ocknie się z błędnego snu kawowego i nie przypomnia sobie o chlebie codziennym, nie poczyni on żadnych kroków w sensie podniesienia zwyczajnego, nie afierowego roln-

piniorów (w dostatecznej ilości) ani gleby pod krzewy kawowe. Ale, przepraszam... podobno gdzieś w glebokach ukrytych żyłach skorupy tej ziemi, od Boga i ludzi zapomnianej, milczkiem przepływa nafta...

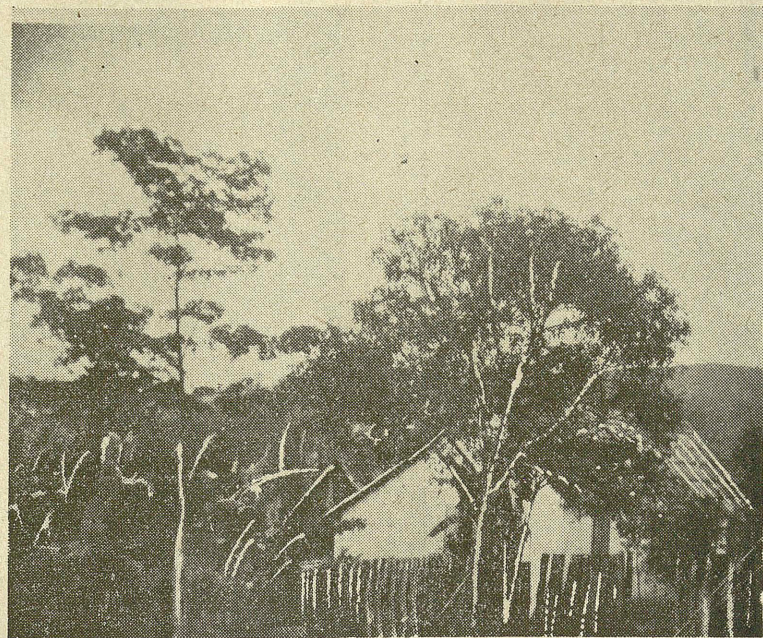
W ostatnich miesiącach przemyslowało te zakamarki leśne kilka kompanii krajowych, angielskich i amerykańskich. Wyniki badań, oczywiście, trzymane są w hermetycznej tajemnicy. Formująca się dopiero kompania brazylijska naftowa z kawowych dorobkiewiczów wynajęła inżynierów zagranicznych (nawet Kaukazyjskich) do tychczas zatrudnionych w Argentynie. Jeden z nich przesiedział z instrumentami kilka tygodni pod górą Trombuda i na odjeżdżającym powoźniku mi szepiał, że tylko brak kapitałów opóźni wercenie. Miejsca zakreślone na mapie dorzecza Ivaí czerwonymi znakami odległe są od kolei ponad 180 klm, a drogi kolo-



Moje najmłodsze dzieci w bananowym sadzie w Apurkaranie.

we znajdujący się w opłakany stanie. Rząd federalny brazylijski zatwierdził niedawno statut kompanii narodowej (naftowej) i plan pożyczek wewnętrznej w wysokości 10 miliardów kruejros, w znacznym stopniu przymusowej. Właściciele at i ciężarówek muszą nabyć obowiązkowo za tyście kruejrosów akcje.

Kto wie? — Czasami takie odległe wypadki, jak nacjonalizacja nafty perskiej lub też inne kłopoty brytyjskie na Bliskim Wschodzie, mogą niespodziewanie wpłynąć na losy dośrodkowej już zmierzwanego osadnictwa słowiańskiego w dorzeczu Ivaí! Tereza Cristina, w grudniu 1951 r.



List drugi

U sąsiada Makolągwy

CHATA Piotra Makolągwy stoi na małym wznieśieniu, blisko drogi głównej. Często wiatr zachodni ziewa ku niej tumany kurzu, jaki podnoszą pomykające tędy ciężarówki, bo droga główna nie jest szosowana. Dawniejsza sadyba Makolągwy mieściła się w dole, blisko potoka, z którego czerpano wodę. Piotr przeniósł ją ku drodze dopiero kiedy się ożenił z Hanką, młodszą od siebie o dwadzieścia lat. Uparla się, żeby mieć konieczne widok na drogę.

Chata jest sklepiona z desek „piniorowych” i pokryta gontami z tegoż drzewa. Składa się z dużej izby na podłodze i z przysławki służącej za kuchnię tudzież jadalnię. Duża izba odgrywa zarazem rolę sypialni a nawet salonu... bo często chłopcy z okolicy najajmują ją na wieczno-

cze pamięta „stary kraj”, gdzie nieboszyk ojciec był przy koniach we dworze a matka pomagała doć dworskie krowy. Rolnictwu nie napatrzył się tam za wiele, ale wie niby choć tyle, że narzędziami łatwiej pracować niż pazurami...

Wiedzieć to on wie, ale tłumaczy sobie, że skoro bogatsi koloniści w tej okolicy nie zdobyli się na plug i brony, skądże jemu, mizerakowi błyszcząc im przykładem? Upływają więc lata na harówce bezplodnej i na niedostatku, na tym chłopskim „jakoś to będzie”, które naszego osadnika w Brazylii nie odróżnia prawie od krajowca — kabokla.

Makolągwa nie waży nawet pięćdziesięciu kilo, jest podobny do zasuszonego grzyba i przepocone smażę wiszą na nim, jak na strachu w prosie. Przez większą część roku nie wypuszcza on z garści „fojso” lub motyki. Musi wyciąć pod kukurydzą przynajmniej trzy hektary kraków, co łącznie z paleniem i sadzeniem zajmie mu dwa miesiące pracy od rana do nocy, — z kolei drugie tyle zabiera sprzętanie i zwożenie. Gdyby te same trzy hektary obsadził kukurydzą na żarowanej roli, miałby nieodkrotnie większe zbiory. W podobny sposób musi „wyfojsować” zarosła pod ryż, żyto, fasolę, manjok i kartofle. Obsadzone nimi wypaleniska, gdy przyjdą wiosenne deszcze, zarastają w oczach chwastami i młodym lasem. Oznacza to cztery miesiące nieustannego pręlenia. W rezultacie zbiory nie przewyższają tych, jakie miał Robinson Cruzoe na bezludnej wyspie. W każdym razie do nowych rzadko wystarczą.

Piotr robi to, co każdy malarolny czynił dawniej w Polsce; — sprzedaje na lachy, sól i naftę część niedostatecznych zbiorów wtenczas, kiedy są najjaśniejsze fasola, kukurydza i ryż a kupuje te same produkty na przednówku, kiedy są najdroższe... Nie dziwnego, że od wielu lat nie może wygramolić się z długu. Winien jest w sklepieku Peczowskiemu kilkadziesiąt kruejrosów więc Hanka musi zanieść tylko tam do sprzedania jajka i kurę, chociaż gdzieindziej płacą drożej.

Czasami Hanka w przypływie fałi optymizmu, właściwemu jej wiekowi, marzy o krowie, o mleku dla swoich pięciu „bąków”. Wówczas Piotr macha ręką i pomrukuje: — Choćby ino dobrą kozę! Sięle biorąc, nawet dla krowy nie dalby rady wziebrać odpowiedniej paszy, bo ziemia po wypaleniu zarasta chwastem nie nadającym się na pokarm dla bydła. Trawy rzucają się tu jedynie na glebach ornych.

Przed wyborami obiecywano kolonistom plugi na wypłat z powiatu po 700 kruejros — po wyborach podniesiono cenę na 1.400.

Makolągwa podnosi okresami głowę ku widniejącym z okna szczytom gór Nadziei, ale tylko wówczas gdy jawi się w chacie któryś z „kompadrów” (kumów) z butelczyną trzcinowej samogonki w kieszeni. Wówczas marzy głośno.

— Ha, za nieboszczyka ojca miałem ładny gatunek świń. W niecala pół roku upało się „kapady”.

Pokazał mi kiedyś tonąc w błocie u potoka swoją zagrodę ze świrowi. Same degeneraty — ryje na pół metra, uszy wlokące się po ziemi, twarde do tuczenia, że niech ręka boska broni. Obecnie już sobie zdziebko rasę poprawił.

Zachodzę którejś niedzieli do Makolągwy, a dzieciaki już w bramce krzyczą: — U nas dzisiaj kura na obiad! Okazało się, że dzięki kot schwyłcił tustą kurdę, chude psy mu ją odebrały, a gospodarz odebrał z kolei psom...

Przypomniał mi się wtenczas przynależności chłuskie Kwiatkowski:

Nadszedł smutku dzień ponury, gdy je biedak rosół z kury...

PIOTR GUZY

ZDRADA FRANKA CZEKAŁY

Pracowali zawiście, rzadko prze-
mawiając do siebie. Wozy były już
prawie pełne, gdy Kuba wyprostował
się i spojrział w stronę wsi, zapadłej
w dolinie i widnej stąd jak na dłoni.

— Popatrz — szturchnął Franka

ramieniem.

Droga zbliżała się kupa ludzi. Pro-
dem skacząc przez rowy, biegle dzieci.
Za nimi niemal zwartym oddzia-
łem maszerowali mężczyźni z podnie-
sionymi do góry głowami.

— Chryste Panie! Do nas idą! —
powiedział bojaźliwie Grzegorz Skru-
pała.

Odszedł od swego wozu i przysta-
nął przy Franku, który mruknął coś
pod nosem i nie przerwał pracy. In-
ni skupili się razem, jak spłoszone
stado kur. Odwróciwszy w stronę prze-
biegających już przez rów ludzi — cze-
kali.

— Szczęść Boże! — przywitał la-
mistrajków stary Zientek. Zdjął zmie-
ty kapelusz i wytarł przepocony w
srodku pasek skóry postrzępionym
brzegiem rękawa.

Nikt mu nie odpowiedział.

— Cóż to, zapomnieliście chrześci-
jańskiego języka w gębie?

— Wy się z nas nie naigrawajcie,

Wojciechu, tylko gadajcie coście chcie-
li? — powiedział zza pleców Kuby

Jędrzej Bobola.

— Powiem, tylko powolutku. Nie
ma się co spieszyć, dziś święto.

— Jakże święto?

— Nie wiecie? Święto, nikt nie pra-
cuje.

— Ja pracuję.

— Tak, tylko wy, ilu was tu jest...

— Dziesięciu.

— A kto nam zabroni pracować?

— Nikt nie zabronił, ale była ogól-
na zgoda, żeby nie iść do pracy. Za-
pomnieliście?

— Ja się na nic nie zgadzałem.

— Ale wiedzieliście, że ma być
strajk?

— Ano... wiedziałem.

— To trzeba było przyjść i powie-
dzieć: ja się nie zgadzam.

— Gadanie.

— Nie gadanie, tylko tak jest. Jak
strajk, to wszyscy strajkują i nikt się
nie uchyla.

— Przecież — ciągnął dalej — my
nie chcemy niczyjej krzywdy. Nie o to
idzie, żebyście nie zarobili tych paru
groszy. I o jeszcze wielkie pytanie,
czy wam je dadzą. Nam wszystkim
zalegają z ośmiomiesięczną wypłatą
i ciągle tylko zwodzą i zwodzą. Czas
wreszcie postawić się i pokazać na-
szą siłę. Bez nas dziecko nie nie
znaczy, bo sam w pole nie wyjdzie i
nie obróbi. Zobaczymy, kto wygra.

Rzepak potrzebuje zwiędzić, bo inaczej
zgnieje na polu. W tym nasza siła, że
dziecko bez nas nie ruszy, że nas
potrzebuje. On przyjdzie do nas,

przyjdzie prędzej czy później, a wte-
dy mu powiemy: najpierw zapłać, coś
nam dłużny. O tu — wyciągnął roz-
plaszczoną dłoń i stuknął w nią faj-
ką — tu, jak zobaczymy pieniądze,
wszystkie co do grosza, wtedy dopie-
ro, nie przed.

Poskrobał się po brodzie i powie-
dzał w stronę Boboli i reszty:

— No, jak, ludzie, wypragnięmy

te konie i pójdziemy do domu, co?

— Tak by wyglądało — powiedział

Bobola i zaczął wycofywać się w
stronę swego wozu.

— Ja nie pójde — powiedział Fran-
nek.

— Dlaczego nie pójdziesz?

— A tak. Nie pójde i nikt mnie
stąd nie wypędzi.

Od mostu nadjeżdżał rzadca. Gnia-
dy konik biegł lekkiem truchciem,
wznosząc spod kopyt białe kłęby kurzu.

— Złe robisz.

— Złe, jak dla kogo.

— Dla nas i dla siebie, bo naszą
jedność osłabiasz.

— Dobrze wam się mówi, Wojcie-
chu, bo wy małych dzieci nie macie,

wszyscy wyrosli i do miasta uciekli.

— Toś wymyślił — taki sam zasa-
ny żywot tam mają, jak my tu.

— Ale ja mam dziecko, co ma dwa
lata i jeszcze nie chodzi. Taka się z
niego poczwara zrobiła, jak zwierzak

jakis złoza się na czworaka. Ja mo-
gę przez te trzy dni zarobić z dzie-
sięć złotych dla doktora, żeby nie te
nogi popatrzał. Tego to nie widziałem!

O jedności mi tu mówić będziecie,
kiedy dziecko mi na kalekę wyrasta.

— Ja wiem, Franku — powiedział

z westchnieniem Zientek — ja wiem,
ale przez jedne ogędziny doktora
dziecko nie wyzdrowieje.

— Franku — wystąpił teraz stary

Czekala — przecież twoje dziecko, to
mój wnuk. Tak samo ono moje, jak
twoje. Jak tylko Józef przysię pnia-
dza, ani groza nie weźmiemy dla
siebie, wszystko na dziecko damy, bo
już patrzeć nie mogę na te nieszczę-
śliwą sierotę. Pójdziemy do domu,

Franku, co?

— Nie pójde, ojciec.

— Pójdziemy, Franku, co?

— Nie pójde, ojciec.

— Franku, ja ciebie po dobroci...

— Nie, ojciec.

— Franku — przystąpił bliżej —

Franku, nie każ mi staremu...

— podniósł do góry drążącą rękę.

— Nie, ojciec.

— Nie?

Uderzył go w twarz i Franku by-
by upadł, gdyby nie ludzie stojący
za nim. Czekala pobladł.

— Niech mnie ręka boska za to
skarże... wyszeptał.

Przecisnął się przez ludzi i po-
łaził rozkopanym polem do drogi, zmia-
dżony, jakby mu przez tych kilku se-

kund przybyło parę lat. Z boku, z
drwiącym uśmiechem na ustach stał
rzadca, rozkroczony nogami mocno
wparty w ziemię.

Ludzie zaczęli schodzić z pola.
Wyprężnięto konie, wlokąc orczyki,
poczłapały ku wsi. Na polu pozostały
furmanki z opuszczonymi na dół dy-
szalami.

Rzadca dogonił ich przed bramą.
Spod niskich drzew szpaleru prowa-
dzącego do pałacu wynurzył się na
koniu hrabia Wojnarowski.

— Co to ma znaczyć, panie Mala-
siński?

— Strajkują, panie hrabio.

— Dzwoni pan natychmiast po po-
licję. Zaraz po policję, panie Mala-
siński. To robota komunistów, tolero-
wać tego nie będę.

— Tak jest, panie hrabio. Już ja-
dę.

— Chwileczkę — zeskoczył z konia
— niech pan poprosi do telefonu
aspiranta Petruczyńskiego. Nie, lepiej
komisarza... zresztą, najlepiej jak ja
sam z nim porozmawiam.

Wskoczył na konia i, nie patrząc
na przysłuchujących się opodal ro-
botników, pocałował do pałacu.

— Mieszka, a co?

— Ach, to wy — wydobył z kiesze-
ni na piersiach jakiś papier. — Mam
tu — podniósł papier do góry —
rozkaz komendanta powiatowego Po-
licji Państwowej, kapitana Pasier-
skiego przeprowadzenia u was rewiz-
ji.

— Jakiej rewizji? U mnie nie nie
ma.

— Zostawcie to dla nas, od tego
my jesteśmy — skinął na policjantów.

— Papierosa, panie aspirancie?

— Malasiński podsunął papierosną.

Aspirant Petruczyński powiódł oczy-
ma po izbie.

— Ubogo tu u was, panie Cze-
kala.

— Jak nie ma być ubogo. Kiedy
dziecko nie wypłaca?

Aspirant pokławił głową.

— Tak, tak. Kryzys. Ciężkie czasy.

Ale sobie jakoś radzicie.

— Kto tam ciągle tak kaszle? —

stał przed otwartymi drzwiami.

— Chory?

— Gruźlica — wyjaśnił rzadca.

— O! — Usiadł z powrotem.

— Otóż — aspirant zwrócił się do

Franka — według doniesienia obec-
nego tu rzadcy, pana Malasińskiego,
doszło dzisiaj na polu do nieprzy-
jemnego zajścia pomiędzy ojcem a
wami. Tak?

Frank milczał.

— Z informacji pana Malasińskie-
go wynika, że wasz ojciec, chcąc
wam przeszkodzić w wykonywaniu
waszych obowiązków w stosunku do
pana hrabiego Wojnarowskiego, u
którego jesteście zatrudnieni, ude-
rzył was w twarz, czyli fizycznie
niepożwolił wam... zresztą, po co ja
to mówię, niech pan przeczyta proto-
kół, panie Prucysz.

Prucysz odczytał.

— Podpiszcie — aspirant podsunął

mu pióro.

Frank milczał.

— Podpisujecie tylko, że tak było,

jak napisane.

— Niczego nie podpisuję.

— Co znaczy, nie podpisujecie? By-
ło tak, czy nie było?

— Nie było.

— Panie Malasiński!

— Bujanie, przecież sam widzia-
łem.

— Nic pan nie widział.

— Kłamię.

— Za daleko pan stał, żeby co
widzieć.

— No, więc jak, podpisujecie?

— Nie.

— Nieważne. Pan rzadca był

świadkiem i to wystarczy. Głupio
postępujcie, a ojcę i tak już nic nie
pomoczą. Teraz my tylko adwokata
trzeba. Chodźmy.

Frank usiadł ciężko za stołem i
obiema rękami objął twarz. Dokola
słyszał głuchy szum. Z daleka do-
chodziły go jakieś głosy. Zamknął
oczy i usiłował słumić w sobie na-
rastający ból. Potem się zerwał i wy-
biegł na dwór. Minął bramę i wpadł
na drogę. Przy ostatnim z czwora-
ków stał samochód ciężarowy naby-
ty przez państwo. Otoczył go krąg
mleczących ludzi. Ojciec, opierając
ręce na tylny kłapie, siedział z brze-
gu i patrzył ponad głowami. Frank
zaczął biec środkiem drogi, a w tej
samej chwili samochód ruszył i wbi-
jając tuman kurzu, zniknął wkrót-
ce za zakrętem.

Frank zawrócił do bramy.

W wylocie szpaleru stał hrabia Wo-
jnarowski. Na jego widok Frank spo-
nął przed siebie i, przez zaciśnięte
zęby wyrzucił: — To dopiero początek!
My się jeszcze porachujemy!

Piotr Guzy

ANTONINA BARTOSZEWICZ

„CICHCEM SIEDLI, MILCZKIEM JEDLI“

CZYTAŁAM o krakowskim zjeź-
dzie wiejskich przodowników
czytelniczy. Słyszałam po sa-
miedku o poznafiskim. Oba udane.
Byłam na naszym bydgoskim, zorga-
nizowanym w Toruniu — nie udało
się. Bo co go różni od krakowskiego
i poznafiskiego? Zupełny brak dysku-
sji. Nie włączono jej w program. A
z której by nie brać strony — czy,
zjazd powinien być roboczy, czy od-
wrotnie, świętem odznaczonych prze-
downików — jakże mogły być zja-
zdem milczenia tych, którzy nań przy-
jechali? Przodownicy? Zatem ludzie
o bogatym doświadczeniu w organi-
zowaniu czytelniczy. Czegoż więc
od zjazdu oczekiwać jak nie wymia-
ny doświadczeń przodowniczych, jak
nie ustalenia wytycznych do dalszego
rozwoju czytelniczy w województwie,
a konkretnie na 3-ci etap ogólno-
krajowego Konkursu Czytelniczego?

Zjazd laureatów? Nagrodzenie
108-miu najlepszych czytelniczy i or-
ganizatorów czytelniczy na wsi?

Pięknie. Ale kiedy i gdzie laureaci
wydymali tylko pierś pod przypinany
krzyż albo wyciągali tylko rękę po
ufundowaną nagrodę? Laureat
dziękuję, tzn. przemawiał i po to
zjechali się chłopci. Tak ci, co otrzy-
mali, jak i ci, co nie otrzymali na-
gród.

Okazało się jednak, że przodowni-
ków czytelniczy wezwano po to,
aby posłuchali ob. prezesa Wojewódz-
kiego Zarządu ZSCH, który wygłosił
dwugodzinny referat pod skromnym
tytułem: „O niektórych formach pra-
cy kulturalno - oświatowej na wsi
województwa bydgoskiego“.

Prelegent, trzeba to przyznać, do-
trzymał zobowiązania, wyrażonego w
tytule referatu, dzięki czemu dowie-
dzieliśmy się o „niektórych tylko for-
mach pracy“.

Co mówią te niektóre? W woje-
wództwie bydgoskim jest 19 powia-
tów. Każdy powiat na II-gi etap Kon-
kursu Czytelniczy zaplanował mniej
więcej po 500 uczestników konkursu,
jako że planowane „administracyjne“
nie wymaga filozofii, a z góry upaja
gruszkami na wierzbie. 19 razy 500
równa się plus minus — 9000. Tego
sobie życzyło, tego oczekiwano a do-
czekano się 1644 uczestników.

Jeden tylko powiat Toruń wypełnił
plan, a nawet go przekroczył (520).
Powiat Bydgoszcz do 300-tu uczest-
ników, Inowrocław i Włocławek po
100, pozostałe powiaty jeszcze
mniej.

Dlaczego? Odpowiedź na to pyta-
nie wykracza już pewnie poza „nie-
które problemy“, objęte referatem,
dlatego dowiedzieliśmy się tylko tyle,
że zarządy powiatowe i gminne
ZSCH nie doceniły konkursu, ogra-
niczając się prawdopodobnie do me-
chanicznego rozprowadzenia w tere-
nie materiału informacyjnego oraz
instruktorskiego.

Prawdopodobnie. Ale dlaczego?
Odpowiedź daliby przodownicy.
Ale ponieważ nie wiedzieli a ob.
prezes nie był ciekawy, więc się obe-
szło.

Tu powinnam zakończyć sprawa-
zanie z braku materiału. Mam jed-
nak ochoć powiedzieć jeszcze coś nie-
czegoś na własne ryzyko. Próbowałam
wszak rozmawiać z uczestnikami, co
wcale nie było łatwe, bo najpierw o-
bowiżywała milczenie — cisza a po-
tem, kiedy zabawiano uczestników
tańcami i chórami zespołów świetlic-
owych, jakie na ów zjazd również
przybyły — uciekała przepiękna za-
prośba.

Co rzuciła się w oczy z samych
choćby liczb ob. referenta?

Najbogatsze w uczestników kon-
kursu okazały się powiaty, otaczające
większe miasta województwa: Toruń,
Bydgoszcz, Włocławek, Inowrocław.
Wypełniając one centrum wojewódz-
twa. Pobróża pozostały jeszcze w
częściowym odłogu. O czym to świad-
czy?

Po pierwsze — o wpływie dużych
ośrodków kulturalnych. Ich to dzia-
łania zawiadzać należy sukcesy na
toruńskiej i bydgoskiej wsi oraz
mniejsze w inowrocławskim i wło-
clawskim powiecie.

Po drugie — w pobrażnych, od-
dalonych od centrów kulturalnych po-
wiatów, jak Brodnica, Żnin, Mogilno,
Świecie, Tuchola, Sepólno, Wyrzysko,
Lipno itd. ruch konkursowy od dołu,
od wewnątrz (w gromadach i gmi-
nach), ruch samodzielny okazał się
słaby.

• Rozumiem, że przy założeniu „o-
ceny niektórych tylko problemów“ re-
ferat zjazdowy wiele zagadnień po-
minal. — Nie rozumiem natomiast,
dlaczego prezes wojewódzkiego zarzą-
du ZSCH zabranął po uszy w „ocenę
form pracy kulturalno - oświatowej“
(co chyba nie jest jego specjalnością),
a przepuścił tak dobrze mu znaną z
urzędu sprawę średniaka.

Wszak województwo bydgoskie to
sprawa średniaka. I to jakiego? —
„Zakopanego w gospodarstwie“!

Należało przeto zagadnienie rozwo-
ju czytelniczy rozważyć klasowo.
Pytałam takiego „żubra zagrodowe-
go“, jak tam u was z konkursem? —
„Ano, żeby ludzie nie czytali — czy-
tają. Ale powiedź — napisz o książ-
ce, którą przeczytałeś albo — chodź
na zebranie, pogadamy o czytanych
książkach — tego jeszcze nie chcą“.

Nie chcą „zakopani w gospodarstwie“
średniacy w pobrażnych powiatach
naszego województwa.

A kto od dołu w tych powiatach
pierwszy dojrzał i pobudza śred-
niaka?

Malorolnicy.

Przypomnę znanym list Tadeusza
Daczowskiego ze wsi Komorowo,
powiat Lipno. Drukowała go „Wies“
w 16-tych numerze. Komorowski był
synem najmity, zwanego do prac
na folwarku. Rodzina składała się z
13-tu osób. Uczył się nie mógł, po-
przeł na 4-eh klasach. W 16 roku
życia sam poszedł na folwarską służ-
bę. Polska Ludowa dała mu ziemię
z reformy rolnej. Został średniakiem.

O czym on, teraz pisze? „Nasza
gromada jeszcze trochę a całkiem już
wejdzie w socjalizm i ja już niedłu-
go zrzuć z siebie skórę średniaka,
którą mnie Polska Ludowa obdaró-
wała — dawnego nędzara — ale-
pod którą musiałem walczyć z chętką
zakłepienia się w moim gospodar-
stwie“.

Oto bydgoski powiat! Oto problem
bydgoskiego województwa. Rozwija
go ruch malorolniczy i tych, jak
Daczowski, „pod skórą średniaka“ i
tych, jak Jan Skwierawski z Kosobud
(pow. chojnickiego), który zaigro-
wał do zespołu konkursowego 16-tu
byłych analfabetów, czyli nie śred-
niaków.

Wróćmy jeszcze do powiatu lipno-
skiego. Tam to we wsi Kikole jest
sławny chór, który zdobył pierwsze
miejsce na wojewódzkim Festiwalu
Muzyki Polskiej. Chór ten organizo-
wał własnymi siłami 28 wieczornic
na innych wsiach i przyczynił się do
założenia dwóch spółdzielni produk-
cyjnych w Lemnie i Sumlinie (pow.
Lipno). W Sumlinie kogo poruszył?
Malorolnego Tobera, który przed pół
rokiem nie umiał jeszcze w publicz-
nym przemówieniu związać trzech
zdąń do kupy, a obecnie ten prezes
spółdzielni produkcyjnej potrafi trzy-
mać przemówienie nie tylko o „nie-
których zagadnieniach“.

Tak więc należało rozpatrzyć się
w aktywizacji kulturalnej malorolnych
naszego województwa. Bo trzeba im
pomóc, bo trzeba jeszcze bardziej ich
ubojować.

Należało się rozpatrzyć w oporach
średniaków „zakopanych w gospodar-
stwach“ ale zadowolonych, skoro
lubią muzykę i śpiew, ale wydobytých
już na pół kroku i zdobytych czę-
ściowo dla uczestnictwa w społecznym
życiu kulturalnym, skoro tak za-
miennym jest dla naszego wojewódz-
twa rozwój zespołów chórnych i
tancecznych. Wszak na eliminacjach
centralnych Festiwalu Muzyki Polskiej
w Warszawie, cztery z tych zespołów
zajęły pierwsze miejsca w skali ogóln-
no-krajowej (I, II, IV i V).

Warto było słyszeć chór z Kikola
— „Zaorzmym miedzę“, a potem po-
gadać ze śpiewakami.

— Mróz, zimno a my jedziem na
traktorze i dobrze i wygraliśmy!

— A co?

— Różnie. Raz pierwsze miejsce
na zawodach, a raz — gromadę dla
spółdzielni produkcyjnej.

Alle zarząd wojewódzki nie wygrał
zjazdu jak należało. Chór przodowni-
ków czytelniczy milczał, głos miał
ob. prezes, jak zaznaczył na wstępie,
o „niektórych tylko zagadnieniach“.

Otóż to!

Antonina Bartoszewicz

Narady w sprawie literatury dla dzieci i młodzieży

RADZIECKIE książki dla dzieci
zajmują pierwsze miejsce w
literaturze światowej tak pod
względem swego znaczenia ideowego,
jak i wysokości nakładów. W Kraju
Rad, gdzie problemy wychowania ko-
munistycznego społeczeństwa mają
pierwszorzędne znaczenie, literatura
dziecięca i młodzieżowa otoczona
została specjalną troską. Partia,
Rząd, cała społeczność radziecka
poświęcają książkom dla dzieci i
młodzieży wiele cennej, zyciowej
uwagi, rozumiejąc doskonale, że wy-
chowanie nowego komunistycznego
człowieka zaczyna się od lat naj-
wcześniejszych, od dziecka.

Te szczerne obowiązki pisarzy ra-
dzieckich wykonują znakomicie. Świad-
czą o tym nakłady książek i rozgłos
poszczególnych dzieł. W okresie wła-
dzy radzieckiej nakład książek dla
dzieci i młodzieży wynosił jeden mi-
liard sześć milionów egzemplarzy.
Cyfra niebywała, niemożliwa w us-
troju kapitalistycznym. W Związku
Radzieckim bibliografia pozycji z te-
go zakresu notuje 39.132 wydania
książkowe.

A oto cyfry świadczące o wielkiej
popularności niektórych pisarzy spe-
cjalizujących się w zakresie literatu-
ry dla dzieci i młodzieży. Utwory
Marszaka osiągnęły nakład 23.863.000
egzemplarzy, tłumaczone były na 62
języki i miały 697 wydań. Utwory
Barto wydawane były 410 razy, tłum-
aczone na 66 języków i użyskały
nakład wysokości 19.24.000 egzem-
plarzy. Dzieła K. Czulkowskiego dru-
kowane były 429 razy w nakładzie
19.080.000 egzemplarzy, tłumaczone
na 47 języków. Tak lubiany przez
dzieci A. Gajdar pozostawił utwory,
tłumaczone na 66 języków i druko-
wane w ilości 12.386.000 egzempla-
rzy. Sekcja literatury dziecięcej i
młodzieżowej w Związku Radzieckim
skupiają ponad 250 pisarzy.

Gazetka gminna

„Niedobra miłość“

Czytałem pewien list, który mi przypomniał Kuśmierka opowiadanie o Kociu. Pod jakim względem? W opowieści Kuśmierka przelata się akcja z gatunku tych, o jakich zwykliśmy mówić — może prawdziwa, ale nieprawdopodobna. Kociu, robotnik rolny, wraca z Francji jako komunisty, wraca z żoną i dziećmi, zakłada spółdzielnię produkcyjną i nagie pod wpływem odwiedziny brata opuszcza żonę i spółdzielnię, osiedla się w rodzinnej wsi, pragnąc w sposób dla niego nawet niejasny znaczyć na starym miejscu i w starym układzie stosunków społecznych.

List ma podobną akcję. Ale list jest dokumentem. Tak się wydarzyło. A jak się wydarzyło? Na lubelskiej wsi (w powiecie Radzyń) przed dwoma laty pobrali się wyrobnik z małolatką, która ukończyła gimnazjum rolnicze. Pojechali do Szczecina, do jej brata, który tam studiował. Oboje znaleźli pracę. Nagle po roku on wraca na wieś do swojej matki a za nią ściga żona z dzieckiem. Jego matka — jak mówią ludzie — to kobieta okropna. Okropności tej dowodzą pisane listy do Szczecina, w których „obszeczkiwała” synową i jej rodzinę. Teraz po powrocie syna uzyskuje nad nim szczególną władzę. Przyskuta choroba do łóżka już syna przeciw synowej, awanturując się, ziorze. Wynik? Po dwóch latach miłostwa dziewczyna wróciła z dzieckiem do domu swoich rodziców. Wygnana żona i matka.

List pisała wygnana żona. Jej próba wyjaśnienia tego nieprawdopodobnego biegu wydarzeń obraca się wokół matki nieja. Wydaje się jej, że tu tkwi tajemnica dramatu w magnetyzmie okropnej staruchy. U Kuśmierka działa na Kocię magnetyzm rodzinnej wsi, której ten obiecywał „z olejem w głowie” chciałby imponować. Ow magnetyzm wywołuje u czytelnika opór, bo Kociu to przecież komunista, to spółdzielca, to mąż i ojciec. Węć jeśli w starcie rzuca się te siły i „wygrywa” magnetyzm rodzinnej kapitalistycznej wsi — to wtedy dopiero, kiedy czytelnik zobaczy wątpliwą podszewkę komunisty z nazwy, kiedy zobaczy dzieje Kocię w spółdzielni, jakie go z niej wyprowadziły, kiedy zobaczy konflikt w rodzinie.

Wróćmy do listu. Dlaczego zwy-

O pomoc dla biedniackiej wsi

„Niech o tym wie powiat Bilgoraj”. A dlaczego? Bo w bilgorajskim powiecie znajduje się biedna wieś Suchów Dolny. Biedna ona była przed wojną, ale dziś mogłaby już wyglądać niebiednie. Tego pragnęła i pragnie gromada. A jak jest? Jak jest z warunkami jej społecznego życia? Spółdzielnia gminna rezyduje w Woli Różanieckiej, faktycznie zaś sklep trzyma w Suchowie Dolnym w izbie (prywatnie wynajętej) o 4-cm na 4. W tym niedzielnym sklepie słoczoną towary, tu odbywa się skup jaj, butelek i złomu. „Wstyd to wielki dla GS-u”. Wstyd dla Rady Narodowej. Bo Straż Pożarna mieści się też w prywatnej stodole. (Gdyby ogień ogarnął to gospodarstwo, niesposób byłoby wynieść samej sikawki).

Bo szkoła nie ma budynku własnego, klasy rozrzucone są po chałupach. Dla nauczycieli w całej wsi „wyskubać” dało się zaledwie dwa pokoje i kuchnię. Szczególnie, że u społeczeństwa nauczyciele chcą codziennie przychodzić z drugiej wioski, 4 km. drogi.

Bo świetlicy (lokalu) nie ma żadnej, bo zebrania gromadzkie, ZMP,

ZSCH, czy gospodyni odbywają się w sali szkolnej.

Długa lista i niepokojąca lista. Kto tu winien? Chłopi w Suchowie Dolnym otrzymują — wciąż jednakową z GRN-u odpowiedź „To se wybudujcie sami, nikt wam budować nie będzie”.

Zle odpowiada GRN a jeszcze gorzej przedstawia się jej odpowiedź na tle stanowiska gromady.

„Rozumiemy to dobrze — piszą chłopi z Suchowa Dolnego — że GRN, jak również GS nie przyjdą nam wybudować domów na potrzeby społeczne, zrobić chcemy to sami i na nasz koszt, ale potrzebujemy materiału do budowy”.

„Niech o tym wie powiat Bilgoraj”.

Biedna sprzed wojny wieś pragnie rozwinąć swe życie społeczne — zbudować instytucje oświaty, kultury i gospodarki. Takiej zbiorowej i szerokiej inicjatywy nie wolno lekceważyć. Na takiej inicjatywie biedniackiej wsi należy się oprócz — taka winna być polityka władzy ludowej bilgorajskiego powiatu.

Jan Kosiński

„Średniamałorolny“

Szanowna Redakcji!

Kolos się nazywam, ale chłop jeśteń małorolny. Z powiatu — trzeba Redakcji wiedzieć — sierpeckiego, znaczy województwa warszawskiego. Rada Gminna przynależała pożyczkę dla naszej gromady na nawozy sztuczne za pomocą skrytów dłużnych. Ale za pomocą rozmaitych ludzi zdano naszej gromady upadło. A było to tak. Na zebraniu gromadzkim prezes ZSCH mówi — dać najmniejszemu rolnikowi, bo im najbardziej brak. To więksi — przeciw obowiązki wszyscy wypełniamy, należy się zatem większym, bo u nich większa produkcja na skup. To aktywiści Piotrowski Adam powiada — należy się małym, bo państwo na to kładzie nacisk i jak będzie wyglądał Kolos (znaczy ja) albo inni małorolni?

Prezes Gąsiorowski zrobił listę i wysłał do Rady Gminnej. Ale kiedy przyszło do odbioru instruktor Prokowski Leon i Piotrowski Jan, aktywiści ZMP, rozdzielili po swojemu.

To wy tacy aktywiści? Za pieć wsadzić listę, którą uchwalila gromada? A komu daciecie? Piotrowski Jan, posiadacz przeszło 15 ha wziął sobie i przynależał swemu kuzynowi, który posiada 19 ha, Matyjasikowi i Marcinkowskiemu (15 ha).

Powiada Piotrowski — nie mam nawozu pod kartofle a koby nie sadzi!

A czemuś nie zabezpieczyć nowozu, który wywoziłeś w pole? Na kupie

stał to i spalił się. Kto temu winien? Polska Ludowa też była w gruzach, a odbudowała się. Tyś przez 7 lat miał zniżkę w podatku i gospodarstwo było w rozkwicie. A dlaczego upadła?

Ja mu odpowiem Szanowna Redakcji. Nawóz się pali, kiedy się zaczyna u pana instruktora grać w karty od soboty do niedzieli w południe. Za taką przyczyną gospodarstwo stanie i aktywiści staną a zetem powoju mu nie pomogą, bo nie wart.

On liczy na instruktora, jego kuzyna. Ale instruktor taki sam jak on gospodarz. Miał 9 ha, a że musiał dać matce element, rzucił gospodarstwo, bo powiada — nie mogę dać rady. I taki chce nas uczyć, jak należy gospodarować?

Co on mówi do sołtysa? — Kolos nie jest małorolny, bo ma 5 ha.

Pięć ha mam, zaś ornego tylko 2. Ale znowu mi przybywa, bo dzierżawę od Rządu 3 ha, to i placę 300 zł. rocznie.

Nie małorolny jestem? No, to krzygnę średniak a Piotrowski 15 ha — to małorolny?

Ja głosowałem na siebie? Na siebie ale i na drugich jeszcze w naszym położeniu. A Piotrowski razem z instruktorem tacy aktywiści — przeciw Kolosowi i przeciw tak biednemu, jak Rutkiewicz, inwalida i jak Prokowski Stach rozrządzili się skrytkami dłużnymi.

Piotr Kolos

Sąsiedzka nienawiść

Z gromady Szahda (pow. brodnicki) pisze chłop list do „Rolnika”. Oskarża sąsiada. Nie lubię tego typu listów. Miejsce dawnych kosztownych sądów zajmują teraz działy korespondencji z terenu w różnych redakcjach. Tu wpływa własnoręcznie sporządzony akt oskarżenia. Sąsiedzka zawiść i pieniaństwo spadły widać w cenie, skoro szukają ujścia na drodze bez kosztów, ale i bez wyroku. Taki właśnie list — jak mi się wydawało — odkładałem już na bok. Bo „sąsiad” otrzymał przydział drzewa na stodołę (on zaś pewnie nie otrzymał). Bo od dwu lat „sąsiad” nie buduje, drzewo więc niszczące na deszczu. A takie drzewo „na pewno, by wykorzystali bardziej potrzebujących”.

Jeszcze kilka zdań a przeczytamy: zabierzcie sąsiadowi i dajcie mi!

Otóż nie! „Co gorsza, — pisze chłop — mój sąsiad Dobrzeński drzewo budowlane rznie na opał i pali. Tu widać jawny sabotaż u prezesa gromadzkiego ZSCH, Dobrzeńskiego. Kiedy państwo nasze buduje wielki przemysł i uczy nas oszczędności, aby najpierw były fabryki, to nasz prezes uczy nas marnotrawstwa”.

Oto ciekawy przyczynek do nowych, socjalistycznych już typu — a nie dawnego, kapitalistycznego — konfliktów sąsiedzkich.

Oburzenie, nienawiść rodzą się, jak się rozdzieli, ale zmieniają się ich powody i treść. Sąsiad na zebraniu gromadzkim odmówił sąsiadowi votum zaufania. Prezes zleci z fotela spółdzielczego, bo sąsiad powziął do niego „złość”, ale za sabotaż, za marnotrawstwo dobra społecznego.

Wojciech Paweł

Jedna gromada i dwie rady

W powiecie Koło leży wieś Brdów, o której chłop w okolicy powiada, że jest „uprzywilejowana przez króla Jagiełłę”. Ano, jest uprzywilejowana. Ma jezioro rybne i ogrody. Z tego też tytułu posiada Radę Gromadzką. Owa rada również korzysta z przywilejów.

Należy bowiem do niej członkowie tej samej rodziny i „za tyle lat, choć ogół się upomina — pisze korespondent — żadnego sprawozdania nie dała: czy rybak wpłacił dzierżawę, czy duży dochód daty ogrodu? Na zebraniach to się zaklinają, a zawsze wykrecają się od sprawozdania, które by dało wynik, co się robi i gdzie są te pieniądze za jezioro brdowskie i z ogrodów”.

Należy się domyslać, że z tych dochodów podjęto przed trzema laty budowę gromadzkiego domu ludowego. Kiedy wydzwignięto mury tego pięknego gmachu, robota stanęła, za brakto do wykonania materiałów. Tak twierdziła Rada. Wtedy gromada wysłała delegatów na zachód po zakup rozbrórkowego baru dla pokrycia dachem niszczących murów.

Z tego materiału „panująca rodzina” pobudowała sobie stodoły i tak skończyła się sprawa domu ludowego.

Również przed trzema laty rozpoczęto elektryfikację wsi „ze składek oraz różnych imp.”. Okazuje się, że „panująca rodzina” gospodaruje jeziorami i ogrodami, rozprządza społecznym funduszem bez wliczeń, bez kontroli, bez sprawozdań, a wielkie akcje — budowę domu ludowego i elektryfikację wsi, przerywa i zarzuca. Wodzi zatem, jak chce, za nos gromadę.

A gromada składa się z mało i średniololnych, którzy dobrze wywiązuje się z obowiązków wobec Państwa. Pragnęli i pragną domu ludowego, elektrycznego światła i radia. Zastanawiające, że dla osiągnięcia tych celów nie liczyli wyłącznie na „wolne od kontroli” fundusze z jeziora i ogrodów. Z całą gotowością opodatkowali się dobrowolnie i gromadzieli fundusze z imprez artystycznych i zabaw.

Dlatego więc gromada nie poddała Rade kontroli, dlaczego jej nie obalili? Dlatego chyba, że i Rada i gromada zależą od Gminnej Rady.

Z listu korespondenta wynika, że „panująca rodzina” nie jest kontrolowana przez Gminną Radę, a przeciw zarządowi gospodarstwem rybnym i ogrodami, a przeciw ma kasę, dochody, obraca społecznymi pieniędzmi.

Jaki zaś jest stosunek Gminnej Rady do chłopów z Brdów? Jakim korespondent na przykładzie elektryfikacji.

Wiosną 1951 kolonia Brdów ponowiła starania i Gminna Rada oraz Komitet Elektryfikacyjny (w skład którego wchodził wyłącznie (?) przedstawiciel gromady Bobiak, czyli gminnej wsi) — przyrzekły wydać 40 słupów. Przyrzekły, ale pewnego dnia słupy znalazły się we wsi Józefów. Stało się tak za decyzją tejże samej Rady. Chłopi z Brdowa wnieśli sprzeciw i na Prezydium GRN poddano obie decyzje „od głosowania”. „Sprawa kolonii Brdów upadła dwoma głosami”.

Dlatego? Powtórzę pytanie korespondenta.

„Dlatego Rada Gminna nie bierze pod nadzór naszej Rady Gromadzkiej? Dlatego nie rozstrzyga, czegośmy żądali, komu służyć powinno światło, czy mało i średniololnym z kolonii Brdów czy kulakom z Józefowa, czy kolonii Brdów, która wywiązała się dobrze ze skupu i innych obowiązków czy gromadzie Józefów, która wywiązała się źle, i z oporami. Dlatego Gminna Rada odrzucała tę podstawę do decyzji a tak po amerykańsku puszcza w ruch maszynkę do głosowania?”.

Zenon Libera

KRYSTYNA PALYS

Premiery w Siemierzu i Rożdżałowie

Gdy zamilkły w powiecie tomaszowskim ostatnie strzały jaszczystych niedobitków, do nauczyciela w Siemierzu, Józefa Michalczyka przyszło kilku chłopów i dziewcząt. Słyszeli od rodziców, że młodzież przed wojną „grala”. Oni też chcieli spróbować.

W ten sposób młodzi podtrzymali dawne tradycje. Zaczęły się próby, w szkole do późnej nocy palilo się światło, a gdy we wsi pojawił się afisz, zapowiadający niezbyt kształnymi literami wystawienie sztuki „Mundur swatem” — na premierę przybyła cała wieś.



„Na przystanku” Ulańskiego — zespół teatralny z Ramienik pow. Grodzkó.

Od tego czasu, po zakończeniu robót jesiennych w polu, zaczynały się wieczorami próby, a około Nowego Roku odbywała się premiera.

Gromada doprowadziła do porządku opuszczony dom, wybudowała scenę — tak że w świetlicy gromadzkiej 250 ludzi mieści się na jednym przedstawieniu.

Co roku zmieniają się na jej ścianach afisze: W 1947 anonowały „Filozofa”, w 1948 — „Babską politykę”, w 1949 — „Dziuradów”, w 1950 — „Szkice węglem”, w 1951 — „Powracająca fala”.

Józef Michalczyk, nauczyciel i reżyser w jednej osobie zagrawszy z zespołem pierwszą komedię, poczył szukać w swoim repertuarze czegoś więcej jak śmiechu i rozrywki. Wybrał „Filozofa”, bo chciał pokazać postępowego chłopca, a potem „Babską politykę”, o zabarwieniu satyrycznym, ośmieszającym „niezdrową ambicję, intrugantwo i plotki”. Później sięgnął do adaptacji utworów Orzesz-

kowej, Sienkiewicza i Prusa. Zespół przejechał na eliminacje z udrumiatą nową Sienkiewicza.

Żyje w Siemierzu małorolny Czesław Urban, liczący sobie lat około trzydziestu. W dzień gospodarzy na dwóch hektarach, bo wyżywić trzeba żonę i czworo dzieci. Wieczorem idzie do szkoły na próby albo majstrując przy dekoracjach i kostiumach. Spod zgrubiałych od roboty palców Urbana wychodzą co roku fantastyczne stroje dla żabek, krasnoludków i duszków, bo wziął on doobrownie na siebie obowiązek dostarczania ko-

li bez okien, sam przygotowuje kostiumy i peruki, a reżyser jest równocześnie fryzjerem, kostiumologiem i dekoratorem. Ileż zapatu i wytrwałości muszą mieć ci ludzie, którzy na zapadłej wsi sięgają do klaszów. Premiery we wsi bez sceny i świetlicy w Rożdżałowie są szeroko znane w okolicy, a na każde przedstawienie wali moc narodu.

A teraz kilka słów o opiece, która należy się większemu zespołowi teatralnemu ze strony Związku Samopomocy Chłopskiej, rejonowej kultury przy Gminnych i Powiatowych Radach Narodowych.

Stanisław Walczuk z Rożdżałowa sam piluje z amatorami belki i deski na sceny, przed każdym występem w ruderze bez okien Gdychy nie niewyczerpana energia tego chłopca, zespół rozleciałby się dawno. Chociaż gra Fredę, Moliera i Gogola, a istnieje od wielu lat — GRN i PRN zdają się nic o tym nie wiedzieć.

Przepraszam — „pomoc i opieka” objawia się tylko w jednym wypadku, kiedy amatorzy z Rożdżałowa chcą wyjechać z przedstawieniem w teren. Wtedy kierownik powiatowego referatu kultury, biurokrata jakich ze świecą trzeba szukać, każe czekać na rozpatrzenie podania o zezwolenie na wyjazd aż dziesięć dni. Krótszy termin dla załatwienia tej „wysoko skomplikowanej sprawy” zakłóciłby słomazarny tok jego urzędowania. W ciągu długich lat nie pomyślano o jakichkolwiek subsydiach dla kół amatorów w Rożdżałowie, które pokrywa wszystkie wydatki z „własnej kieszeni”.

A przecież w województwie lubelskim przewidziano w budżecie na rok 1952 poważne sumy na organizowanie konkursów artystycznych itp.

O czym to mówić?

Ze ciągłe jeszcze nie doceniają roli większych zespołów artystycznych, jako czynnika wpływającego na przebudowę psychiki chłopca i życia wsi lubelskiej. Jeden występ zespołu z Siemierza lub Rożdżałowa ze sztuką poruszającą problemy, którymi żyje dzisiaj wieś, uczynić może więcej niż kilka narad albo konferencji.

Amatorskie zespoły z Lubelszczyzny wezmą wrócić udział wespół z aktywnym partijnym i społecznym w wielkiej akcji popularyzacji osiągnięć spółdzielczości produkcyjnej. 624 zespoły wiejskie na Lubelszczyźnie to wielka, blisko 10-tysięczna armia aktorów, w której repertuarze musi zadźwięczeć mocno nowa socjalistyczna nuta.

Krystyna Palys

KLEMENS KRZYŻAGÓRSKI

L e k c j a

CHOROBA wyrwała mnie na

pewien czas z akcji, którą wtedy prowadziła nasza gazeta. Była nią dyskusja nad projektem Konstytucji. Po kilkunastudniowym pobycie w klinice kazano mi wyjechać i odpoczywać. Zrobiłem w myśli przegląd kresowych i znajomych i w zakamarkach pamięci wygrzebałem mi mniej niż więcej tylko wujka, który osiedlił się we wsi Góry, obok Miłczewa.

Więć na wygląd rozczarowała mnie. Do stacji kolejowej pięć kilometrów, do gminy tyleż, kilkanaście chałup na krzyż, a w środku spółdzielnia.

Mój przyjazd wywołał pewne zainteresowanie. Mężczyźni twierdzili, że przyjechał referent kontraktacji, kobiety — że ksiądz katecheta. Dzieci, że pan inspektor. Ostatecznie, przyjechał do ostatniego rozpoznania. W związku z tym w szkole, w której zamieszkałem, wśród młodego towarzystwa dało się zauważyć zderzenie udzielające się nawet najmłodszym „słuchaczom” ochronki na drugim piętrze. Ci ostatni w wielkim podekscytowaniu ćwiczyli najnowszą zabawkę: „Lata mucha koło ucha” i uczyli się piosenki, aby się czymś pochwalić przed panem inspektorem.

W wielkim garnku na swobodzie tańczywały kluski w wodzie. Tańczywały, tańczywały. Aż się wnet rozgotowały...

Zawiadamy wszystkich prenumeratorów naszego pisma, że począwszy od m-ca stycznia br. urzędy pocztowe, oraz listonosze więcej i mniej przyjmują wpłaty na prenumeratę w terminie do dnia 15-go każdego miesiąca na miesiąc następny i okresy dalsze.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROL
Redaguje Komitet
Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska nr 12, tel. 752-50. Adres redakcji: Warszawa, ul. Starynkiewicza nr 1.
Prenumerata i kolportaż: P. P. K. „Ruch”, Oddział w Warszawie, ulica Srebrna 12, tel. 804-20 do 25.
Tel. Red. Nacz. 727-86. Tel. Redakcji 751-80. Kod wewn. 91, 93.
REDAKCJA NIE ZAMOWIONYCH REKOPISÓW NIE ZWRACA
Wpłaty na prenumeratę można dokonywać Plac 3 Krzyży 16, Chmielna 25.
Warunki prenumerat:
miesięcznie 3,- zł. kwartalnie 9,-, półrocznie 18,-, zł. rocznie 36,- zł. Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa I-6842/110 z zaznaczeniem „za tyg. „Więść”.

RSW „PRASA”. Warszawa, Marszałkowska 3/5 3-B-19145

co pisze „Rolnik Polski” i „Gazeta Robotnicza” i „Przajaciółka” („Przajaciółka” siostra przyszywa z Miłczewa — „Rolnika” i „Gazetę” ojciec prenumeruje), na temat projektu Konstytucji.

Przeprowadziłem błyskawiczną ankietę: kto pójdzie do szkoły średniej i jakiej? Oto wyniki: połowa klasy (przeważnie chłopcy) po skończeniu siódmej klasy idą do szkół zawodowych, technicznych. Już mówili o tym z rodzicami, przeczytali o nowych szkołach w gazecie, wybrali swój przyszły zawód. Niemal jedna trzecia — do szkoły ogólnokształcącej w Miłczewie. Kilka dziewczynek chce być nauczycielkami. Z całej klasy nie chce pójść do szkoły średniej tylko pięć dziewcząt.

A oto druga ankietka: Kto posiada rodziców, którzy ukończyli więcej niż siedem klas szkoły podstawowej? Jedna dziewczynka: tatę ukończył ośmiem klas.

Bo jej tatuś był burżuj — zażartował, któryś z chłopców. Nie, ojciec nie był burżujem: syn chłopca z Poznańskiego chciał koniecznie czymś być, chciał iść dalej. Nie daleko zaszedł — do ósmej klasy, dalej nie starczyło pieniędzy. Pracował w cukrowni w Zdunach jako robotnik. Reszta rodziców ukończyła na ogół cztery klasy szkoły powszechnej.

Później mówiliśmy poważnie, jak dorosli ludzie: o naszych trudnościach, o tym, że jeszcze nie ze wszystkim jest dobrze, że jeszcze niełatwe nasze życie. Już bez podnoszenia palców do góry wstał Broniek i powiedział, że wieś nie produkuje jeszcze tak dużo jak trzeba.

Zastanawialiśmy się wspólnie nad tym, co trzeba zrobić, by więcej rozdziała ziemia, by więcej było mleka i żywności.

— Czytałem — mówił Broniek — że trzeba stosować zielone nawozy, w „Rolniku” czytałem. Ja myślę, że rodzicom powinniśmy tłumaczyć, że pilnie czytanie gazety da im wiedzę potrzebną do tego, żeby lepiej uprawiać ziemię.

Wyjeżdżałem po kilku dniach wieczorem. Wychodząc ze szkoły myślałem po drodze o tym, jakie złudne są pierwsze wrażenia: świat zabity deskami, zakazana wieś...

Na skrzyżowaniu drug spotkanie listonosza, który niósł dzienną porcję gazet.

Klemens Krzyżagórski